

Przywołajmy trochę historii: Hokej na lodzie: Mistrzostwa Świata w Katowicach - POLSKA-ZSRR 6:4, 8 kwietnia 1976 roku.

Ten mecz to jeden z najbardziej nieracjonalnych wyników w historii całego polskiego sportu. Hokeiści radzieccy byli wówczas niekwestionowaną potęgą, podczas gdy my nigdy nie prezentowaliśmy chociażby ułamku wybitnej klasy w tej dyscyplinie. Statystyki przed tym meczem były dla naszych zawodników wręcz przerażające - w historii graliśmy z ZSRR 25 razy. Bilans: 25 porażek! Na odbywających się dwa miesiące wcześniej igrzyskach olimpijskich w Innsbrucku przegraliśmy z nimi 1:17 („Siedemnaście mgnień wiosny” - pamiętacie ten serial?) i nic nie wskazywało na to, że mamy z Rosjanami jakiegokolwiek szansę. Ten jeden raz Dawid jednak upokorzył Goliata - doping publiczności zgromadzonej w katowickim Spodku i ogromna chęć zrewanżowania się za wszystkie dotychczasowe klęski dodała naszym skrzydeł. Wiesław Jobczyk miał swój mecz życia, strzelając hat-tricka, a Andrzej Tkacz dokonywał cudów w bramce, broniąc strzały rosyjskich gwiazdorów. Wygraliśmy 6:4 i cud stał się faktem. Następnego dnia Polacy przegrali co prawda z Czechosłowacją 0:12 i ostatecznie nie utrzymali miejsca w światowej elicie, ale tej wygranej nad Związkiem Radzieckim nikt już nie mógł im zabrać.

Wiesław Jobczyk jest trzykrotnym uczestnikiem Zimowych Igrzyski Olimpij-

skich (1976, 1980, 1984), uczestnikiem 7 turniejów o Mistrzostwo Świata (1976, 1977, 1979, 1981, 1983, 1985), w tym 2 turniejów w gr. „A”, 125-krotnym reprezentantem kraju (1974-85), strzelcem 88 goli dla reprezentacji narodowej (2. miejsce w historii polskiego hokeja).

Wiesław Jobczyk to także komentator i ekspert hokejowy Telewizji Polskiej. Od wielu lat komentuje PLH oraz mecze reprezentacji Polski. Jest również stałym gościem w studio. W 2006 roku komentował dla TVP Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Turynie. Cztery lata później gościł w studio olimpijskim TVP. Był także ekspertem programu „Trzecia tercja” w TVP Sport. W roli komentatora i eksperta na meczach polskiej ligi występował również na antenie stacji Wizja Sport. Obecnie ponownie jest ekspertem w TVP Sport.

Ojciec Tomasza i Michaela Jobczyka, żonaty z Małgorzatą. Aktualnie prowadzi własną działalność gospodarczą. ■



Hokej nadal w rodzinie Jobczyków ma się dobrze.



Alicja Głuchowska

Historię tworzą ludzie

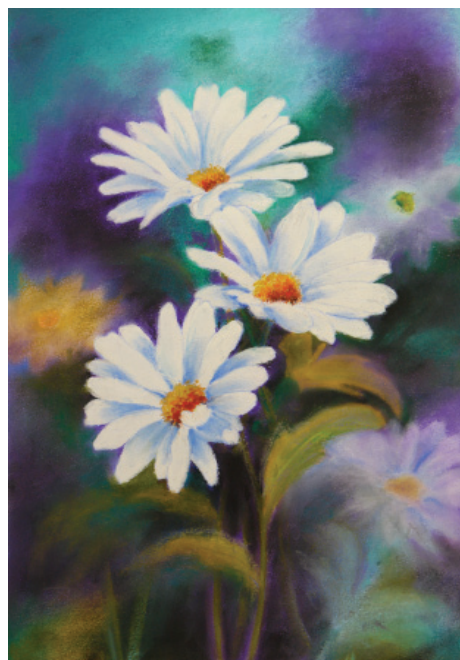
Malarstwo - moja pasja

Siedlczanka, absolwentka miejscowych szkół. Z wykształcenia jest nauczycielem – pedagogiem. Już w dzieciństwie chciała uczyć inne dzieci i do tego celu dążyła. Obecnie posiada 29-letni staż pracy, a od kilku lat pracuje z dziećmi i młodzieżą w Zespole Oświatowym w Żelkowie Kolonii.

Z zamiłowania natomiast jest malarką, wielbicelką prac w ogrodzie wśród krzewów i kwiatów, miłośniczką kotów (obecnie posiada ich dwa) oraz książek sensacyjno-kryminalnych (jej ulubionym pisarzem jest Harlan Coben). Dlatego w wolnych chwilach od pracy i obowiązków domowych cały

swój wolny czas poświęca pasjom. Często narzeka, że doba jest za krótka, bo nie starcza na wszystko czasu.

Oczywiście największą jej pasją jest malowanie. Jest typowym amatorem-samoukiem. Twórczość malarską rozpoczęła dość wcześnie, właściwie to malowała i rysowała od dzieciństwa. Pierwszy obraz olejny powstał, gdy była uczennicą II Liceum Ogólnokształcącego im. Królowej Jadwigi w Siedlcach. Początki malarstwa były dość trudne. Wszystkiego trzeba było się nauczyć: od naciągania płócien na blejtramy i gruntowanie ich, poprzez zdobywanie farb, rozcieńczalników itp., które nie były w tamtych czasach tak dostępne jak obecnie.





Brama Grodzka
w Lublinie
- olej na płótnie.

Nie ukrywa też, że zdarzały jej się małe „wypadki” artystyczne. Zdarzało się, że konie wyglądały jak koniki polne i trzeba było wszystko poprawiać czy też rozrabiała za rzadką farbę i wkrótce cały obraz popękał lub „popłynął”. Uczy się cały czas, ciągle poznaje nowe techniki i ma nadzieję, że ciągle się rozwija. Najchętniej używa farb olejnych, akwarelowych i pastelów. Maluje głównie roślinną część przyrody. Spod jej pędzla „wyszło” kilkadziesiąt pejzaży, kwiatów, ale i portretów znajomych oraz abstrakcji.

Jest wdzięczna wielu osobom, których miała szczęście poznać i spotkać, którzy wspierali, zachęcali i przyczyniali się do tego, że zaczęła swoją twórczość pokazywać i wychodzić do szerszej publiczności. Wszystkim tym osobom dziękuje za pomoc i stworzenie warunków do kilkunastu wystaw indywidualnych i grupowych. Swoje prace mogła wielokrotnie prezentować z Żelkowie Kolonii na Rodzinnych Festynach Sportowo-Rekreacyjnych, w Mini Galerii Biblioteki Pedagogicznej, w Arche i na spotkaniach chary-

tatywnych tzw. „Grelowiskach”. Gdy w 2010 roku otrzymała stypendium twórcze Prezydenta Miasta Siedlce, przygotowała kilkadziesiąt prac pod nazwą „Piękno Ziemi Siedleckiej”. Prace te przedstawiały serię pejzaży najbliższej okolicy, a wykonane zostały różnymi technikami plastycznymi. Prezentowane były one w grudniu 2010 i styczniu 2011 w Sali Widowiskowej „Podlasie” w Siedlcach. W lipcu 2011 roku te same prace można było oglądać w Warszawie na Starym Mieście.

Znaczna ilość prac malarki znajduje się w prywatnych kolekcjach w kraju i za granicą – w Niemczech, Anglii, Stanach Zjednoczonych i Australii.

Alicja Głuchowska wspiera również działalność na rzecz dzieci, poprzez ofiarowywanie prac na aukcje i imprezy charytatywne. W ogólnopolskim czasopiśmie „Mały artysta” publikuje także propozycje dekoracji z okazji rodzinnych uroczystości, świąt i pór roku, a w 2009 roku został wydany przez Gminę Siedlce kalendarz z jej pracami. ■





Róża Somla-Dembowska

Historię tworzą ludzie

Ocalić od zapomnienia

Badaczka dziejów chłopskich rodów z Topórka, Żaboklik, Grabinanowa, Stoku Lackiego i Siedlec. W ciągu ostatnich 6 lat wykonała mrówczą pracę w archiwach państwowych przeglądając tomy ksiąg parafialnych i urzędów stanu cywilnego w kilku miastach Polski, przeprowadziła też mnóstwo rozmów z bliższymi i dalszymi krewnymi. Wszystko po to, bo ocalić od zapomnienia historie ludzi, o których mało kto już pamięta. W przygotowywanej właśnie do druku publikacji o rodzie Somlów i kilkudziesięciu innych z nim skoli-gaonych rodzin przedstawia nie tylko biogramy poszczególnych osób, ale poprzez ich dzieje również historię podsieldeckich miejscowości.

Róża Somla-Dembowska urodziła się 1 kwietnia 1939 roku w Stoku Lackim w rodzinie Władysława Somli i Marianny Somli z Gorzałów. Była ich czwartym dzieckiem. Matka chroniła ją od cięższych prac w polu i domu, namawiając do nauki. Od dzieciństwa Róża miała bardzo dobrą pamięć i szybko uczyła się wierszyków i piosenek. W szkole do jej ulubionych należały przedmioty humanistyczne, nieco gorzej szło jej z przedmiotami ścisłymi. Po ukończeniu szkoły podstawowej została przyjęta do Państwowego Żeńskiego Liceum im. Królowej Jadwigi. W 1955 roku wyjechała na Międzynarodowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Warszawie. Po festiwalu Róża pojechała na obóz harcerski dla młodzieży polonijnej z Francji i Belgii. Z powodu poprawki

z języka francuskiego na obóz zabrała ze sobą podręcznik do języka francuskiego. Dzięki pomocy francuskich i belgijskich koleżanek na obozie przerobiła go od pieruszej do ostatniej strony. Po powrocie poprawkę z francuskiego zdała śpiewając.

Kontakty z poznanymi wówczas koleżankami utrzymywała za pośrednictwem listów przez wiele lat. Listy z Francji miały ogromny wpływ na wybór jej kierunku studiów. W 1957 roku po maturze dostała się na romanistykę na Uniwersytecie Warszawskim. - *Na trzecim roku poszłam na spotkanie z Francuzem, który zachęcał nas do składania podań o przyjęcie jako nianie do francuskich rodzin. Z całego roku zdecydowało się wówczas na to cztery osoby, lecz tylko ja pojechałam do Paryża. Zamieszkałam u rodziny o polskich korzeniach i opiekowałam się ich dwójką dzieci, które chodziły do szkoły. Praca nie była ciężka, polegała głównie na odprowadzaniu i odbieraniu dzieci ze szkoły. Miałam czas na własną naukę, więc zapisałam się do Instytutu dla Profesorów Języka Francuskiego za Granicą na Sorbonie. Szkołę te ukończyłam po trzech latach otrzymując dyplom profesora języka francuskiego oraz dyplom Instytutu Fonetyki w Paryżu* - wspomina Róża Somla-Dembowska. Pobyt w Paryżu nie tylko pozwolił jej na zdobycie bardzo dobrego wykształcenia, ale również pozwolił poznać tajniki kuchni francuskiej i nauczył prowadzenia gospodarstwa domowego.

148



Po powrocie z Francji Róża poślubiła Ireneusza Dembowskiego i ukończyła studia na Uniwersytecie Warszawskim. W 1967 roku podjęła pracę nauczyciela języka francuskiego w Liceum im. Narcyzy Żmichowskiej w Warszawie. Od 1973 roku pracowała jako wykładowca w Szkole Języków Obcych Uniwersytetu Warszawskiego. Karierę zawodową zakończyła jako kierownik Zakładu Języków Romańskich na UW. W roku 2005 przeszła na emeryturę.

Już po przejściu na emeryturę na jednym ze spotkań rodzinnych stryjeczna wnuczka poprosiła ją o spisanie opowieści i wiedzy na temat rodziny „dla prawnuka”. W ten sposób zaczęła się przygoda Róży z genealogią rodu Somlów. - *W jakiś sposób moją obecną pracą spłacam dług wobec swojej rodziny. Po maturze wyjechałam na studia do Warszawy, potem zajęłam się pracą i karierą zawodową i rzadko przyjeżdżałam do domu. Dopiero po śmierci mamy, gdy przez 10 lat opiekowałam się ojcem, poznałam z jego opowieści historię rodziny i jego samego. Można powiedzieć, że od nowa go wtedy poznałam i pokochałam. Teraz tę wiedzę chcę przekazać dalej, następnym pokoleniom - opowiada Róża. Filigranowa starsza pani o jasnoniebieskich oczach ujmująco się uśmiecha. - Gdy zaczęłam wgłębiać się w historię rodziny, okazało się, że ani ja, ani moi trzej bracia nie pamiętają, jak miał na imię nasz pradziadek. Dopiero jeden ze stryjecznych*

braci przypomniał sobie, że w czasie wojny na jego domu w Stoku Lackim był napis: Józef Somla, syn Michała. Potem szukaliśmy imienia babki, imion najbliższej rodziny mojej matki Marianny, z którą kontakt był luźniejszy. Pomagałam uczyć się, gdzie szukać takich informacji, że można je znaleźć np. w archiwum, gdzie przechowywane są stare księgi parafialne, stare księgi metrykalne i inne stare dokumenty.

W trakcie jednej z wielu wizyt w Archiwum Państwowym w Siedlcach Róża spotkała Stefana Somlę. Szybko okazało się, że również należy do rodziny, choć nieco dalszej. On też od dawna interesował się historią rodu Somlów, przeglądał rozmaite archiwalne dokumenty i gromadził fotokopie tych związanych ze swoją rodziną. Okazało się, że uciążliwie wiele lat poszukiwań zgromadził ogromną ilość fotokopii. Z jednej strony wykonał żmudną pracę, z drugiej - często nie było wiadomo, skąd pochodzi dokument, z jakiego archiwum i zespołu archiwalnego, jaką ma sygnaturę. - *Dużo czasu zabrało mi uporządkowanie dokumentów, ułożenie ich chronologicznie. Bardzo odczułam również brak warsztatu historycznego, wiedzy, jak prawidłowo prowadzić poszukiwania genealogiczne. Gdybym zaczynała swoje poszukiwania korzeni rodu Somlów z moją obecną wiedzą, uniknęłabym wielu błędów, które spowodowały niepotrzebną stratę czasu* - wzdycha Róża Somla-Dembowska.



- W trakcie moich poszukiwań ustaliłam, że wszystkich osób o tym nazwisku jest w Polsce ok. 100. Główna gałąź rodu nadal mieszka w Siedlcach i okolicach, ale są również rodziny Somlów w Gdańsku, Zabrzu i Wrocławiu. Nie do wszystkich udało mi się dotrzeć - opowiada poszukiwaczka rodowych korzeni. - Historię naszego rodu udało mi się zbadać do roku 1798, gdy w spisie włościan majątku dóbr klucza siedleckiego we wsi Topórek po raz pierwszy występuje nazwisko Szomla. Zebrane w archiwum wiadomości najczęściej dotyczą urodzin, zawarcia związku małżeńskiego, urodzin dzieci, chrztów, pochówków. Te wiadomości trzeba było potem jakoś umieścić w kontekście historycznym i społecznym, żeby łatwiej można było zrozumieć, co się wtedy działo, jakie były warunki życia i dlaczego ludzie robili to, co robili. Choćby dlaczego żenili się po zgonie współmałżonka najdalej w miesiąc po jego śmierci.

Z badań nad rodem Somlów można dowiedzieć się również innych ciekawych rzeczy. Na przykład tego, że dawne domy włościańskie były ustawiane szczytem do drogi, a drobnoszlacheckie frontem do drogi. Przykłady takiego ustawienia domów nadal można zobaczyć w Stoku Lackim czy Pruszymnie. Dlaczego wszelkie uroczystości rodzinne, jak śluby czy chrzciny najczęściej planowano w późnym okresie jesiennym. O tradycjach i zwyczajach w domach włościańskich i nieco

innych w domach szlacheckich. Jak wyglądało życie przeciętnej chłopskiej rodziny zamieszkującej przed wojną na podmiejskiej wsi. Skąd na wsiach na początku XX wieku wziął się ruch spółdzielczy, kto i dlaczego zajmował się na wsi pracą społeczną i polityką. To oczywiście szczegóły. Książka będzie zawierać bowiem oprócz bardzo wielu biogramów członków rodziny Somlów oraz wielu innych, z nią skoliiganych poprzez małżeństwa córek, drzewa genealogicznego rodu (a raczej kilku drzew), zdjęć opisanych osób również wprowadzenie historyczne dotyczące historii podmiejskich wsi i samego miasta Siedlce, z którym ta historia jest nierozdzielnie związana. - *Bardzo chciałabym doprowadzić tę pracę do końca. Wydaje się, że już niewiele brakuje. Ale ciągle jeszcze uzupełniam jakieś szczegóły w poszczególnych biogramach, opracowuję indeks nazwisk i miejscowości, co jest same w sobie bardzo uciążliwym zadaniem oraz zajmuję się nanoszeniem poprawek stylistycznych. Nie wszyscy będą ujęci w publikacji, bo nie wszyscy wyrazili na to zgodę. Ale zapewniam, że dla wielu osób będzie to ciekawa lektura* - opowiada Róża Somla-Dembowska.

Prace nad książką trwałyby krócej, gdyby nie dodatkowa działalność społeczna Róży Somli-Dembowskiej. Ostatnio zaangażowała się w wolontariat, który wspiera bezdomne zwierzęta ze schroniska dla psów w Zielonce pod Warszawą. W ramach swoich działań wolon-

tarystycznych codziennie zabiera na godzinny spacer trzy psy. Dwa z nich, te, które ze względu na swój wiek, stan zdrowia i przeżycia nie znajdują już nowych właścicieli, zabiera na koniec tygodnia na krótkie wakacje do swojego domku nad wodą w Zielonce. ■

Tytuł książki:

Róża Somla-Dembowska
PONAD TRZYSTA LAT HISTORII
WŁOŚCIAŃSKIEGO RODU SOMLA

Nazwiska skoliigane: Adamczyk, Ambroziwicz, Barszcz, Bednarczyk, Bijoś, Chaciński, Chorko, Dąbrowski, Dedecius, Golec, Gorzała, Harasim, Hołownia, Jarząb, Jurzyk, Karczewski, Karwowski, Konopka, Koy, Książczak, Kupa, Krzeski, Krupa, Karuzel, Lelejko, Merkułowski, Mazur, Mitura, Myszka, Nowak, Olko, Pastor, Perz, Pielech, Prokurat, Przeździak, Skolimowski, Skrzypek, Stachowicz, Stańczuk, Stałęga, Strzałek, Szewczyk, Tesh, Tkacz, Troć, Trebno, Wereda, Woźniak, Woźnica, Wyrzykowski, Zalewski, Żerański

Aniol



Maria Woźniak

Historię tworzą ludzie

O uśmiech na buziach dzieci

Uśmiech i radość na buziach dzieci – to dla niej jest najważniejsze. Za swoje działania na rzecz najmłodszych obywateli gminy Siedlce Maria Woźniak jako jedyna otrzymała order z uśmiechniętym słoneczkiem.

Order Uśmiechu jest unikalnym w świecie odznaczeniem nadawanym dorosłym przez dzieci i w ich imieniu za okazywane im serce, przyjaźń i cierpliwość, bez względu na kolor skóry, miejsce zamieszkania, narodowość czy religię. Idea powstała w Polsce, ale propozycje na odznaczenia składają również dzieci z innych krajów. Przez 45 lat istnienia do grona Kawalerów Orderu Uśmiechu przyjęto 900 osób z 40 krajów całego świata, wśród których są takie postaci jak Jan Paweł II, XIV Dalajlama, Matka Teresa z Kalkuty, Królowa Szwecji Sylwia, Książę Abdullah Ibn Saud, Księżna Farah Ferguson, Steven Spielberg, Peter Ustinov, Bernardette Chirac, Dagmar Havlova, Astrid Lindgren, Jeanne Rowling, Irena Kwiatkowska, Janina Ochojska, Anna Dymna, profesor Zbigniew Religa, Jacek Kuroń, Marek Kotański, Majka Jeżowska, Irena Sandlerowa i wielu innych ludzi Wielkiego Serca. W roku 2005 do tego szacownego grona została przyjęta również Maria Woźniak z Wołyniec. Choć jest to odznaczenie honorowe, za którym nie idą zaszczyty czy pieniądze, nagroda ta jak żadna inna wyróżnia osoby, które wnoszą w nasze życie

uśmiech, ciepło, akceptację, dziecięcą radość i miłość ludzi. Wszystkie te cechy posiada Maria Woźniak.

Maria Woźniak urodziła się w Godowie w woj. śląskim w roku 1955. Wołyńce to rodzinna wieś jej ojca Mariana, który po odświeżeniu wojska w jednostce na Śląsku wrócił wraz z żoną i małą córeczką do rodzinnego domu. Dzieciństwo i młodość Maria Woźniak spędziła w Wołynicach, potem wyszła za męża, urodziła troje dzieci.

Od zawsze lubiła dzieci, a w miarę jak dorastały jej własne, zaczęła dostrzegać potrzeby i innych maluchów, dla których nie zawsze mieli czas rodzice. – *Zawsze za mną cały sznurek dzieci się ciągnął, jak za kaczką. Mnie dzieci szkoda, zawsze lubiłam z nimi na wycieczki rowerowe jeździć, w piłkę pograć, nad rzekę pójść czy na spacer do lasu. Rodzice nie mieli dla nich czasu, zapędzeni za swoimi ważnymi sprawami, a ja po prostu ich przygarniałam i ze sobą zabierałam* – opowiada Maria Woźniak. I tak się zaczęła jej przygoda z dziećmi. Od dowożenia całej gromadki do szkoły, wypraw do lasu, sprzątanania śmieci z Wrzosowej Doliny, na której dzieci lubiły grać w piłkę i się bawić. Nagle się okazało, że prawie każda czynność Marii Woźniak gromadzi dzieci, które z zapalem włączają się w każde jej działania. – *To chyba dlatego, że zachowałam w sobie dziecko. Lubię się bawić i sprawia mi to dużo radości. Dzieci to czują,*



że ja się z nimi nie nudzę, że bawię się razem z nimi każdą czynnością. A kto z kim przestaje, takim się staje. Przecież dusza się nie starzeje – Maria Woźniak uśmiecha się ciepło.

W 2000 roku w Wołyńcach reaktywowano filię biblioteczną. Biblioteka istniała w Wołyńcach już wcześniej, prowadziła ją mama Marii Woźniak, ale po pożarze wynajmowanego lokalu, księgozbiór nie miał gdzie się podziać. Gdy ówczesna kierowniczka Biblioteki Gminnej Alicja Borkowska zaproponowała, by reaktywować filię biblioteki, ponownie pojawiła się kwestia lokalu. Wówczas radny gminny Jan Woźniak

zapropozował, że odda na siedzibę filii pomieszczenie w podpiwniczeniu domu. – *Zaczęło się od 50 książek, potem co kilka tygodni przywoziłam nowe książki z biblioteki gminnej* – wspomina Maria Woźniak. Książki przyciągały dzieci i młodzież, która szukała lektur szkolnych, encyklopedii, słowników i ...czegoś ciekawego „do poczytania”.

W grudniu 2001 roku Maria Woźniak wraz z siostrą Barbarą Wróbel uczestniczyła w szkoleniu zorganizowanym przez Urząd Marszałkowski pt. „Kwiaty na Mazowszu”. Udział w szkoleniu był możliwy dzięki skierowaniu z Gminnego Ośrodka

Kultury w Chodowie, który również zapłacił za szkolenie. Maria Woźniak uczyła się robić tradycyjne kwiaty z bibuły: maki, stokrotki, hiacynty, róże. Drugie szkolenie było poświęcone wykonaniu tradycyjnych palm wielkanocnych, zaś trzecie – palmom kurpiowskim. Niedługo potem okazało się, że wykonane przez Marię Woźniak kwiaty – bukiet maków w koszyku oraz palma wielkanocna – zajęły dwa pierwsze miejsca w konkursie zorganizowanym przez Mazowieckie Centrum Kultury i Sztuki w Warszawie. – *Bibułkowe kwiatki wciągnęły nie tylko mnie. Po tych nagrodach zaczęło się kwiatkowe szaleństwo, które trwa do tej pory. Muszę powiedzieć, że są panie, które prześcignęły mnie w wykonawstwie i wymyślaniu nowych wzorów. Moja sąsiadka Regina Pawlik ma wyjątkowe zdolności manualne. Potrafi zrobić każdy kwiatek, który rośnie u niej w ogródku, a ma piękny ogród. Można powiedzieć, że uczeń przerosł mistrza* – opowiada Maria Woźniak.

Obie siostry swoje umiejętności przekazały dalej. Zaraziły kwiatkowym szaleństwem dzieci z przedszkoli, szkół podstawowych i gimnazjów w wielu wsiach i miastach (Siedlce, Przesmyki, Mordy, Skórzec, Żelków, Łuków, Chodów, Strzała i innych), gdzie bezpłatnie przekazywały tajniki wykonywania kwiatów i palm z bibuły. Bibułkowe kwiaty wykonane w Wołyńcach stały się ozdobą wielu imprez. Na Dożynki

Diecezjalne w Siedlcach Maria Woźniak i Regina Pawlik w ciągu tygodnia wykonały 300 rumianków, 300 chabrów i 300 maków. Papierowe pudełka wykonywane przez zręczne palce Marii Woźniak i Barbary Wróbel z Wołyniec były hitem Targów Poznańskich w 2009 roku i Targów w Kielcach w 2010 roku.

W 2002 roku Maria Woźniak wraz z przyjaciółmi: Urszulą Welik, Barbarą Wróbel, Andrzejem Filipkiem, Janem Ratuskim, Janem Woźniakiem, Jackiem Kameckim, Barbarą Gębka, Bożeną Chybowską i innymi założyła Wołyńskie Stowarzyszenie „Równy start”. Członkowie stowarzyszenia ambitnie zakładali, że dzięki organizacji uda się stworzyć w Wołyńcach siedzibę filii bibliotecznej z prawdziwego zdarzenia. Pierwszy, zdobyty w 2003 roku grant od Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności pozwolił na wyremontowanie sporego pomieszczenia w garażu i zakup potrzebnych encyklopedii i słowników. W Wołyńcach powstało „Centrum Informacji” z powszechnie dostępnym komputerem oraz Internetem. W Centrum Informacji odbywały się zajęcia dla młodzieży, nauka języka angielskiego, korepetycje z matematyki, fizyki i chemii. Co tydzień przyjeżdżała też Hanna Lipińska, która prowadziła zajęcia taneczne, zaś Jacek Kamecki prowadził zajęcia umuzykalniające. – *Bardzo wiele osób po prostu włączało się do pracy z dziećmi nie żądając wynagrodzenia. Widzia-*

ły, że ich praca jest potrzebna, że dzieciaki szybko wyrównują braki i poprawiają oceny w szkole. Szybkie postępy, nie opuszczanie przez dzieci zajęć, wdzięczność za okazaną pomoc były prawdziwą zapłatą za tę pracę – opowiada Maria Woźniak.

Stowarzyszenie pozyskiwało granty na organizację ferii zimowych i zajęć letnich. Co roku latem dzieciaki z Wołyniec wyjeżdżały na kilkudniowe biwaki pod namiot, zaś przejazd nieodpłatnie fundował wójt Mirosław Bieniek. Były biwaki w Chodowie, w Żelechowie, w Rabce. W czasie biwaków dzieci grały w piłkę, śpiewały, malowały, strzelały z łuku, grały z gry plenerowe, kąpały się – słowem, zabawa na 102! Stowarzyszenie organizowało również zajęcia w czasie ferii zimowych i w czasie letnich wakacji. Opiekunami na nich byli zazwyczaj wolontariusze ze stowarzyszenia, którzy prowadzili zajęcia genealogiczne, dziennikarskie, zajęcia plastyczne, muzyczne i taneczne. Organizatorem wszelkich działań na rzecz dzieci była zawsze Maria Woźniak.

Prawdziwym hitem były zajęcia ze strzelania z łuku. Pokazy i udział w zajęciach odbywały się w Szkole Podstawowej i Gimnazjum w Skórcu, w Zespole Oświatowym w Żelkowie Kolonii, w Szkole Podstawowej nr 5 w Siedlcach, na łąkach Wrzosowej Doliny nad Muchawką. Doroczne Festyny z okazji Dnia Dziecka organizowane we Wrzosowej Dolinie zazwyczaj gro-

madzą kilkaset osób z Wołyniec i okolicznych wsi. Dzień Dziecka w Wołynicach jest co roku prawdziwym świętem radości i zabawy dla wszystkich obecnych tam dzieci.

Maria Woźniak jest też poetką. Debiutancki tomik jej wierszy pt. „Prowadź mnie...” miał oficjalną premierę w marcu 2010 roku w Gminnym Ośrodku Kultury w Chodowie, w czasie Wieczoru Poezji Marii Woźniak i siedleckiego poety Adama Końcy. Tomik miał do tej pory dwa wydania, które w całości się rozeszły.

Od 9 lat Wołyńskie Stowarzyszenie „Równy Start” jest członkiem Stowarzyszenia Bank Żywności w Siedlcach. Każdego roku stowarzyszenie przekazuje rodzinom w potrzebie z Wołyniec i okolicznych wsi kilkadziesiąt ton żywności, pozyskanych od Banku Żywności. – *Spółceństwo na wsi coraz bardziej ubożeje, wiele osób które kiedyś pracowały, dziś nie mają pracy. Rodzinom coraz trudniej związać „koniec z końcem”. Widzimy to po liczbie osób, które zgłaszają się po pomoc żywnościową. Z roku na rok jest ich coraz więcej* – opowiada Maria Woźniak. W 2011 roku z pomocy żywnościowej w stowarzyszeniu korzystało 400 osób. W ciągu tego roku przekazano ponad 40 ton żywności. – *Największym problemem jest dla nas coroczne zapłacenie składki członkowskiej do Banku Żywności. Choć nie jest to duża kwota – chodzi o 800 zł – dla nas urasta ona do poważ-*



*Maria Woźniak z ks. Januszem Stefaniukiem proboszczem parafii
p.w. św. Józefa Robotnika w Wołyńcach w otoczeniu swoich podopiecznych.*

nego problemu. Na szczęście są jeszcze na świecie dobrzy ludzie – uśmiecha się Maria Woźniak.

Jej działania społeczne nie pozostały niezauważone. W roku 2005 kawaler Orderu Uśmiechu, malarz i działacz społeczny, Mirosław Greluk zarekomendował jej osobę Kapitulie do wyróżnienia. Jego rekomendacja została poparta licznymi podpisami podopiecznych maluchów.

Order Uśmiechu Maria Woźniak odebrała 1 czerwca 2006 roku podczas festynu z okazji Dnia Dziecka w siedleckim Amfiteatrze. Rok później została uhonorowana Nagrodą Starosty Siedleckiego. Od 2002 roku nieprzerwanie pełni funkcję prezesa Wołyńskiego Stowarzyszenia „Równy start”. Od 2010 roku jest sołtysem w swojej wsi. ■



Wydobyte z drzewa

- **R**zeźbię tylko to, co już jest w drzewie. Zazwyczaj jak widzę jakiś kawałek drewna, widzę też to, co można z niego zrobić - opowiada o swoich pracach Marek Zając, stolarz i rzeźbiarz amator.

Mieszkaniec Wołyniec baczylem pracy w drzewie zaraził się od dziadka. Stolarzem był również brat jego ojca. Jako chłopak robił dla wszystkich kolegów ze szkoły „fiuki” - prymitywne fujarki z gałązek bzu czarnego, wycinał z kawałków drzewa pistolety oraz robił łuki z wierzbowych witek. Z wyborem szkoły nie miał trudności - od zausze wiedział, że będzie się uczył w szkole budowlanej w Siedlcach. Jednak wiedza wyniesiona ze szkoły nie do końca spełniła jego oczekiwania - uważał, że stanowczo zbyt mało nauczył się o tym, co najbardziej go interesowało - pracy w drzewie. Uznał szybko, że praktycznych umiejętności zawodu stolarza najlepiej nauczyć się od człowieka, który już go wykonuje. Szlify stolarza zdobywał więc tak, jak robiono to dawniej - w terminie u dobrego rzemieślnika w Warszawie.

Po zdobyciu szlifów czeladniczych, a potem mistrzowskich Marek Zając założył własny warsztat stolarski. Zajmował się głównie wykańczaniem wnętrz - robił schody, balustrady, drzwi, futryny, wszelkie szafy i szafki, a w razie potrzeby również inne meble. W swoim domu pokazuje pięknie rzeź-

bione małżeńskie łóżko, kredens, szafę na ubrania, krzesło, wyściełany fotel z podłokietnikami, biurko, toaletkę, szafy wnękowe oraz... rzeźby. Z korzeni drzewa skrzętnie wydobyta czarodziejka, twarz Jezusa odkryta w kawałku sękatego pnia drzewa. Wśród płaskorzeźb wiszących na ścianie jest głowa Józefa Piłsudskiego, Czesława Niemena, Jana II Sobieskiego, Jana Pawła II i inne. Wszystkie przedmioty przez niego wykonane mają w sobie jakiś element rzeźbiarski, który podkreśla urodę wykonania, rysunek drewna, wyrafinowany kształt, dopasowany do wnętrza.

- *Nie miałem zbyt dużo czasu na zajęcie się tym, co najbardziej mnie pociągało, czyli rzeźbą. Trzeba było utrzymać rodzinę, a więc pracować i wykonywać zamówienia dla ludzi. Teraz zdrowie już nie pozwala mi na intensywną pracę, więc mogę zająć się tworzeniem* - Marek Zając jest po ciężkiej operacji serca, którą przeszedł 7 lat temu. Może wykonywać lekką pracę, ale najwyżej przez 2-3 godzinny dziennie. Ograniczenia fizyczne spowodowały, że większą wagę przykładają do innych swoich pasji - rzeźbienia oraz pracy społecznej na rzecz mieszkańców swojej wsi, Wołynce. Oczywiście takich, które nie wymagają już ciężkiej fizycznej pracy.

Działa w Radzie Sołectkiej Wołyniec i włącza się we wszystkie jej działania, szcze-

160

Marek Zając
w swojej pracowni
w Wołyńcach.



gólnie w takie, w których jego wiedza zawodowa może być wykorzystana. Wieś Wołyńce jako jedna z niewielu w gminie Siedlce ma nadal tereny wspólne, należące do wszystkich mieszkańców. Gdy zapadła decyzja, by wyciąć część drzew z tego terenu z przeznaczeniem na remont kościoła, Marek Zając nadzorował wycinkę, składowanie, a następnie przewóz bali do tartaku i z powrotem do wsi desek. Wiele drewnianych wykończeń w kościele w Wołyńcach to jego dzieło. Niedawno np. wykonał ambonkę do kaplicy w kościele w Wołyńcach, a obecnie przygotowuje płaskorzeźbę popiersia Jana Pawła II – również z przeznaczeniem dla kościoła w Wołyńcach.

Markowi Zającowi marzy się zagospodarowanie terenu wspólnego wsi. – *W naszej wsi przydałby się plac zabaw z prawdziwego zdarzenia oraz miejsce, gdzie mieszkańcy mogliby się kulturalnie spotkać, kawę napić, pogadać* – marzy Marek Zając. We wsi jest na to miejsce. Prawie w samym centrum Wołyniec znajduje się plac. Stoi na nim zamknięty od dawna budynek starej zlewni mleka, w którym po re-

moncie można by zrobić wiejską świetlicę. – *Nie na balangi, ale na działania kulturalne. Otwarte by było dla każdego, każdy by tam zaszedł, kiedy by chciał.* – Marek Zając nie może oprzeć się swojej wizji czystych ścian świetlicy, ozdobionych bibułowymi kwiatami i rzeźbami. Świetlica w Wołyńcach mogłaby powstać już dawno, samorząd gminny od dawna obiecywał, że wspomocze działania mieszkańców w tej sprawie. Problemem jest jednak to, że gmina nie może zainwestować pieniędzy w budynek, który stoi na gruntach, które do niej prawnie nie należą. A na przekazanie tego terenu samorządowi nie zgadzają się wszyscy mieszkańcy. Więc marzenia o świetlicy muszą jeszcze poczekać...

Na razie w planach Rady Sołeckiej jest wykonanie górki do zjeżdżania na sankach i nartach. Koszt wykonania nie powinien być zbyt duży, chodzi o kilka wywrotek ziemi, które trzeba by przywieźć na plac i odpowiednio ukształtować. Mieszkańcy Wołyniec wielokrotnie dowiedli, że swoją pracę dołożą chętnie i nieodpłatnie – wszak robią to dla siebie i swoich dzieci. ■



NTC

Andrzej Szczygielski

Historię tworzą ludzie

Szczyglantem przez świat

Szczyglant lub *ergodrive* to półpoziomy rower z silnikiem elektrycznym, wymyślony przez Andrzeja Szczygielskiego, mieszkańca Rakowca. Nie hałasuje, nie zatrzuwa powietrza spalinami. Jest tani w eksploatacji. Pozwala rozkoszować się jazdą jednośladem, a jednocześnie czyni tę jazdę komfortową. Rower mogą użytkować osoby cierpiące na astmę oraz inne choroby, wykluczające duży wysiłek fizyczny.

Andrzej Szczygielski urodził się w Siedlcach w 1956 roku. Od młodości był gorącym wielbicielem roweru. Swoją pasją podróżowania po Polsce na rowerze zaraził najpierw najbliższych przyjaciół, a później również kolegów ze studiów i znajomych. W latach 80. wraz z kolegami z Klubu Kawalerów zjeździł Bieszczady, Beskidy, Sudechy, Jurę Krakowsko-Częstochowską, Pomorze. W sezonie prawie co tydzień wraz z kolegami organizował rajdy po okolicznych miejscowościach, przy okazji oglądając zabytki i poznając historię miejscowości. Swoje wyprawy solidnie dokumentował, a po powrocie zapraszał znajomych na oglądanie slajdów i słuchanie ciekawych opowieści o przygodach w podróży. W roku 1985 zachorował na astmę. Nie wiedział wówczas, jak bardzo choroba ograniczy jego pasję podróżowania na dwóch kółkach. Niestety, szybko okazało się, że duży wysiłek fizyczny nasila chorobę, a ataki duszności

z czasem uniemożliwiły mu korzystanie z tradycyjnego roweru.

Przez kilka lat poszukiwał rozwiązania swojego problemu. Potrzebny był mu rower, na którym będzie mógł wygodnie siedzieć. Rower powinien też mieć wspomaganie czyli silnik, aby pod bardziej strome wzniesienia można było wjechać bez narażania się na atak duszności. W literaturze o jednośladach znalazł informację o rowerach półpoziomych. Prototyp takiego roweru został wykonany w latach 30. XX wieku. Jednak nie był to popularny rower i szybko zakazano jego używania w czasie zawodów. To spowodowało, że dalsze prace konstruktorskie nad rowerem półpoziowym zarzucono na kilkadziesiąt lat. Dopiero niedawno niektóre zagraniczne firmy produkujące rowery zainteresowały się takimi konstrukcjami.

Rozmyślając nad konstrukcją roweru dla siebie Andrzej Szczygielski od razu wykluczył wykorzystanie do wspomagania jazdy silnika spalinowego. Uznał, że jego wymagania najlepiej spełni silnik elektryczny. Problemem pozostawał jednak konstrukcja pojazdu.

- *Ergodrive to pojazd koncepcyjny, który łączy pedalowanie ze wspomaganie małego silnika elektrycznego. Inspirowałem się przy jego konstrukcji rowerem półpoziowym i poziomym. Nie jest to nowa konstrukcja, gdyż podobne powstawały zarówno w XIX, jak i w różnych latach XX wieku* - opowiada Andrzej Szczygielski.

164

*Szczyglanty
w Gdańsku
pod Neptunem.*



- W 2006 roku wokół mnie znaleźli się ludzie, którzy pomogli się wykluć tej idei. Swój udział mają tu moi najbliżsi koledzy - Piotrek i Maciek Maliszewscy, a także inni. Tomek z Poznania, projektant wzornictwa przemysłowego, narysował kilka fajnych rowerów, Maciek liczył konstrukcję od strony inżynierskiej. Nic by jednak z tego nie wyszło, gdybyśmy nie znaleźli warsztatu Andrzeja Oknińskiego, który zgodził się dla nas wykonać prototyp, a następnie kolejne egzemplarze.

Rower, który powstał w wyniku tej owocnej współpracy został nazwany *Ergodrivem* lub - na cześć pomysłodawcy - *Szczyglantem*. Ma małe koła. Siedzisko rowerzysty to wygodny fotel, umieszczony na tyle pojazdu. Jego główne zalety to łatwe wsiadanie i zsiadanie, dobra widoczność podczas jazdy, stabilne podparcie dla stóp, optymalnie wygodne siedzisko z podparciem pod kręgosłup, wspomaganie pedałowania silnikiem elektrycznym. Rower jest stabilny, ma nisko położony środek ciężkości. Dużą zaletą są również solidne komponenty tego pojazdu, które zapewniają komfort użytkowania, bezpieczeństwo i trwałość. Są też minusy - małe koła utrudniają pokonywanie krawężników. Również cena komponentów do wykonania roweru nie jest niska. Konstrukcja roweru sporo waży, zaś mały akumulator bywa zawodny przy osiąganiu wyższych prędkości jazdy.

- Jazda na tym rowerze jest wygodna i naprawdę przyjemna. Ja jeżdżę na nim prawie przez cały rok, wyjąwszy oczywiście okresy minusowych temperatur zimą. W trakcie roku pokonuję na nim ok. 5-6 tys. kilometrów. Jego zaletą jest też niewielki koszt eksploatacji. Z moich obliczeń wynika, że koszt przejechania 1 kilometra na moim rowerze wynosi ok. 6 groszy, zaś samochodem - ok. 60 gr. Jest to doskonały pojazd do wykorzystania na krótkie wypadki po mieście lub okolicy, ale sprawdza się również na dłuższych trasach. W 2009 roku razem z synem i przyjacielem pokonaliśmy na nim ponad 900 kilometrów zmierzając na zlot pojazdów napędzanych silnikami elektrycznymi w Gdańsku - zapewnia Andrzej Szczygielski.

Na razie konstrukcja Ergodrive nie została jeszcze wdrożona do szerszej produkcji, lecz kilka egzemplarzy, wyprodukowanych w zakładzie Andrzeja Oknińskiego, można zobaczyć na ulicach Siedlec, Rakowca i okolic. Konstrukcja zwraca uwagę jaskrawożółtymi elementami umieszczonymi na ramie roweru. Jeździ na nich cała rodzina Andrzeja Szczygielskiego oraz kilku kolegów i przyjaciół. Andrzej Szczygielski cały czas udoskonala swoją konstrukcję: - *Szukam lepszego i nowocześniejszego silnika elektrycznego, bo obecny ma trochę za małą moc*. Do tej pory Andrzej Szczygielski przejechał na swoim rowerze ponad 40 tys. kilometrów. ■



Wychowanie przez przykład

Na równo przystrzyżonych trawnikach i przydrożnych rowach w Białkach, przy drodze na Łuków, pyszną się pomarańczowe nagietki i żółte słoneczniki. Przy drodze stoi taczka, na trawniku starszy szczupły mężczyzna grabi świeżo skoszoną trawę. Taczka jest już pełna, pomimo że godzina jest wczesnoporanna. Tak Tadeusz Kacprzak dba o rowy i trawniki przy skrzyżowaniu drogi w Białkach. W czasie roku szkolnego pomagają mu w tym uczniowie, latem o wszystko musi zadbać sam.

Urodzony w 1935 roku w Wiśniewie. W 1953 roku ukończył Liceum Pedagogiczne w Siedlcach, następnie Szkołę Nauczycielską w Lublinie oraz Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Krakowie. Od 1961 roku był nauczycielem w Szkole Podstawowej w Białkach, później jej wieloletnim dyrektorem (lata 1981-1994). Pracę pedagogiczną kontynuował również na emeryturze, aż do 2001 roku. W zawodzie nauczyciela przepracował ponad 47 lat.

Tadeusz Kacprzak pracę zawodową rozpoczął w 1953 roku, w szkole podstawowej w Osinach. Wiejska szkoła miała niewielu uczniów. Klasy trzeba było łączyć i nauczyciel podczas jednej lekcji zazwyczaj prowadził zajęcia dla uczniów kilku klas.

Jego pasją od zawsze było ogrodnictwo. Może dlatego, że wyniósł tradycję dbania o ogród z domu, przy którym zawsze rosły

kwiaty, warzywa i drzewa owocowe. – *W tygodniu bywało różnie, ale w sobotę w obejściu zawsze robiło się porządk: zagrabiło podwórze, porządkowało ogród i całe obejście, również droga w pobliżu domu była zagrabiana. Gdy pracowałem w Osinach razem z uczniami zrobiłem wokół szkoły ogród pełen kwiatów. Dzieci ze szkoły pomagały w jego pielęgnowaniu. Potem to się po wsi rozeszło, bo jak przy szkole było ładnie, to ludzie też tak chcieli mieć przy swoich domach* – wspomina Tadeusz Kacprzak.

Tradycję zakładania kwietników i przyuczelnianych ogrodów przyniósł ze sobą, gdy rozpoczął pracę w szkole w Białkach. Twierdzi, że szkoła to nie tylko jej budynki, ale również całe otoczenie i uważa, że powinno być zadbane. Dzięki jego wieloletniej pracy wychowawczej z dziećmi i młodzieżą ze szkoły w Białkach otoczenie szkoły – również to za płotem – wygląda pięknie. Kwiaty, choć skromne – słoneczniki, malwy, nagietki, szalwie – tworzą przy szkole naturalne kwietniki na równo przystrzyżonych trawnikach wokół skrzyżowania drogi wojewódzkiej z drogą gminną. – *To wizytówka naszej wsi i gminy* – chwali pracę Tadeusza Kacprzaka radna gminy Elżbieta Łęczycka.

Położenie szkoły w Białkach jest trudne. Wieś dzieli na pół droga wojewódzka relacji Siedlce-Łuków. W pobliżu przebiega również obwodnica Siedlec, więc dzieci z Grabianowa idąc do szkoły w Białkach mają

do pokonania dwa niebezpieczne przejścia dla pieszych. Natężenie ruchu drogowego z roku na rok jest coraz większe. W 2001 roku na skrzyżowaniu w Białkach zginęło dwóch nastolatków na motorynce, ale na terenie szkoły podczas zajęć nie doszło do żadnego wypadku. Gmina zadbała, by zatrudnić osobę do przeprowadzania dzieci przez jezdnię aż do drogi w Grabianowie.

Dzięki Tadeuszowi Kacprzakowi dzieci i młodzież ze szkoły w Białkach nadal poznają lokalne miejsca pamięci. – *Na przykład w Gajkach pod lasem opiekujemy się grobami dwóch mieszkańców wsi Białki, rozstrzelanych przez Niemców za współpracę z partyzantami. Porządkujemy również grób żołnierzy radzieckich, którzy zginęli tu w lipcu 1944 roku. Nie zostali ekshumowani po wojnie, wszyscy o nich by zapomnieli, gdyby nie moi uczniowie. Takich grobów jest dużo w podsekulskich lasach. Leżą w nich Polacy, Żydzi, Cyganie, a nawet Włosi, których Niemcy rozstrzelali tu w okolicy po ich buncie. Historyczne zacięcie starego pedagoga widać również wtedy, gdy tłumaczy, dlaczego szkoła w Białkach nosi imię żołnierzy II Armii Wojska Polskiego. – W tej armii walczyli mieszkańcy naszej wsi, dlatego zdecydowaliśmy się nadać to imię szkole. Nigdy z tego powodu nie było żadnych tarć czy niesnasek. Święto szkoły ustaliliśmy na 2-3-4 kwietnia, na pamiątkę bitwy toczony*

w 1945 roku pod Budziszynem, gdzie żołnierze tej armii toczyli ciężkie boje z Niemcami. Zawsze na święto szkoły zapraszaliśmy kombatantów. W zbiorach szkoły mamy dużo pamiątek z czasów II wojny światowej, przekazanej przez byłych żołnierzy tej armii rodem z Białk.

Zdaniem Tadeusza Kacprzaka, szkoła i przykład rodziny ma nadal wielki wpływ na wychowanie młodych ludzi. Dzieci są bystrzymi obserwatorami, jeśli za słowami nie idą czyny, szybko dochodzą do wniosku, że słowa nie mają znaczenia. Dlatego tak ważny jest własny przykład, którym i nauczyciel i rodzic powinien dziecko zachęcać do właściwych postaw społecznych. – *Kiedyś w szkole byli ludzie, którzy autentycznie chcieli tam być i pracować z dziećmi. Komitet rodzicielski aktywnie włączał się w pracę szkoły, rodzice coś chcieli dla swoich dzieci zrobić. Teraz zarówno uczniowie mają wymagania i dużą świadomość swoich praw, jak i rodzice, którzy od szkoły tylko żądają, a sami umywają ręce od jakichkolwiek działań. Kiedyś było dużo trudniej coś zrobić, było biedniej, toalety były dużo gorsze, ale była pomoc ludzi. Sami robili wiele napraw w szkole, naprawiali dach, elektrykę, oczywiście bez zapłaty, bo to dla ich dzieci i ich szkoły. Były organizowane zabawy w szkole, na które matki piekły ciasta. Dzieci je sprze-*

dawały, a zysk był dla szkoły. Było zbieranie owoców w PGR Ostrówek, za co zawsze były jakieś pieniądze, wpłacane na fundusz klasowy i później wykorzystywane przy organizacji wycieczek – wzdycha z nostalgią Tadeusz Kacprzak.

W czasach aktywnej pracy nauczycielskiej zorganizował Kółko Rowerzystów w drużynie harcerskiej. Organizował 8-10 godzinne rajdy po okolicy. Dzieci lubiły z nim jeździć – na Kryńszczak, na Zbuczyn, na Tarcze – zawsze bocznymi drogami, na których dawniej nie było wiele ruchu. Teraz również organizuje dla dzieci wycieczki przy pomocy dyrekcji szkoły, Rady Rodziców, Gminnego Zespołu Ekonomiczno-Administracyjnego. Wycieczki są dla tych uczniów, którzy w czasie roku szkolnego pomagają mu dbać o otoczenie szkoły, razem z nim grabią, sadzą kwiaty, koszą trawę, pielą grządki, oczyszczają teren ze śmieci wyrzuconych z przejeżdżających samochodów. To ostatnie budzi w nim największe oburzenie: *- Wiele razy widziałem, jak przy drodze zatrzymuje się limuzyna, wysiada kierowca, z bagażnika auta wyciąga trzy wielkie wory śmieci i wrzuca do rowu. On ma limuzynę, ma w domu i na podwórku wysprzątane, ale chyba nie ma czegoś najbardziej elementarnego – przyzwoitości. Kto jest temu winien?*

Tadeusz Kacprzak ma na to swój sposób. Starych już nie nauczy, ale młodych nadal próbuje wychowywać. Ma ze szkołą układ – szkoła daje narzędzia ogrodnicze i uczniów jednej z klas piątych 2x w tygodniu. On ze swej strony daje swój czas, nadzór, pomoc, przykład oraz wiedzę, jak założyć i dbać o ogród przy drodze. Na jego zajęcia przychodzi zazwyczaj kilku do kilkunastu uczniów. Pracują godzinę, czasem krócej. Dwa razy w roku uczniowie w nagrodę za tę pracę jadą z nim na wycieczkę. Nie są to wycieczki gdzieś daleko, stara się raczej pokazywać młodym skarby, które mają pod bokiem, a o których często nic nie wiedzą. Byli już w Sokołowie, w Węgrowie, w Kodniu i Kostomłotach, w skansenie w Suchej, w Janowie Podlaskim.

Wolny czas Tadeusz Kacprzak poświęca na jeszcze jedną swoją pasję – historię wsi Białki oraz szkoły, w której jako nauczyciel przepracował 40 lat. Porządkuje zgromadzone materiały, w szczególności pamiątki i zdjęcia przekazane na jego ręce przez mieszkańców. Razem z Elżbietą Łęczycką chcą przygotować monografię wsi Białki, do której od wielu lat gromadził informacje i dokumenty. Kiedy książka ujrzy światło dzienne? Zobaczymy. ■



Elżbieta Łęczycka

Historię tworzą ludzie

Historia była jej pisana

Historia nie była w sferze jej zainteresowań, ale tak się złożyło, że napisała książkę o historii rodzinnej wsi Radomyśli. Nie chciała zajmować się prowadzeniem firmy, ale po śmierci męża musiała ją ratować od upadłości, co jej się udało. Nie chciała być radną, ale w jej wypadku wystarczyło samo wyrażenie zgody na kandydowanie, aby została wybrana. Wygląda na to, że najlepiej wychodzi jej to, czego zupełnie nie miała w swoich życiowych planach. Jest to z pewnością zasługa jej osobowości, ciekawości świata i ludzi, wewnętrznego zorganizowania, umiejętności wytyczenia sobie celu i pilnego dążenia do niego.

Życie nie pieściło Elżbiety Łęczyckiej. Większą część swojego zawodowego życia przepracowała jako nauczycielka w szkole podstawowej w Białkach, obecnie Zespole Oświatowym łączącym podstawówkę i gimnazjum. Mąż prowadził niedużą firmę zajmującą się produkcją metalowych elementów. Po jego nagłej śmierci w 2002 roku Elżbieta Łęczycka musiała zmierzyć się z trudnymi faktami – firma była zadłużona, zbyt produkcji kulał, brakowało pieniędzy na zakup materiałów i wypłaty, a w dodatku komornik chciał zająć za długi dom. Trzeba było szybko wziąć się w garść i wymyślić sposób na wyjście z kłopotów. Jej się udało. Pożyczki na zakup materiałów do produkcji udzieliła Fundacja na Rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa, doradcy fundacji pomogli jej napisać biznesplan, pra-

cownicy podpowiedzieli, jak zmienić profil produkcji i jakie maszyny zakupić, by utrzymać się na rynku. Dzięki wdrożonym działaniom naprawczym udało się spłacić zadłużenie. Firma „Bozamet” nadal istnieje, daje zatrudnienie ludziom, lecz jej zarządzaniem zajął się obecnie jeden z jej dawnych pracowników. – *Od trzech lat jestem na prawdziwej emeryturze. Dzięki temu miałam wreszcie czas, aby naprawdę poświęcić się pisaniu mojej książki – wzdycha Elżbieta Łęczycka.*

– *To szczerą prawdą, historia jako przedmiot mnie nigdy nie interesowała, ale historia mojej rodzinnej wsi i rodziny to zupełnie inna sprawa – opowiada Elżbieta Łęczycka. – Zaczęło się od tego, że na cmentarzu nad grobem dziadków zaczęłam się zastanawiać, jak oni wyglądali, czy jestem do nich podobna, co po nich odziedziczyłam fizycznie i duchowo. Potem, gdy rodzina rozbierała nasz stary drewniany dom, przekazała mi znalezione na strychu stare dokumenty i zdjęcia. Przeglądając je i porządkując zaczęłam się interesować, kogo przedstawiają zdjęcia, o kim wspomina ten czy inny dokument, kto w jakim stopniu pokrewieństwa pozostaje. I tak to się zaczęło.*

Warto wspomnieć jeszcze jedną okoliczność, która miała wpływ na powstanie książki. W świetlicy w Białkach w 2006 roku odbył się III zjazd rodziny Orzyłowskich. – *Orzyłowska to moje panięńskie nazwisko. Gdy dowiedziałam się z plakatu o zjeździe, postanowiłam odnaleźć jego organizatora.*



Był nim Stanisław Orzyłowski, rodem z Plewek. Niestety, podczas pierwszej rozmowy nie udało nam się ustalić, czy jesteśmy rodziną. Ale zasiał we mnie ziarno ciekawości. Dwa lata później sama zorganizowałam zjazd rodziny w Białkach, ale innej jej gałęzi. Udało mi się ustalić nazwiska i adresy 256 osób z rodziny, po zbadaniu jej

koligacji od pradziadków, czyli od roku 1858. Na zjazd nie przyjechało tylko 8 osób, głównie ci, którzy na stałe przebywają za granicą. Uważam, że to był mój duży sukces. Ten zjazd to było ogromne przeżycie dla mnie i dla innych gości – wspomina Elżbieta Łęczycka.

Zgromadzeni na zjeździe członkowie rodziny zażyli sobie przygotowania książeczki ze zdjęciami, wykonanymi w trakcie zjazdu. Zaczęli zbierać pieniądze na album. Elżbieta Łęczycka uważała jednak, że same zdjęcia to za mało, żeby zaspokoić apetyty na wiedzę o rodzinie. – *Trzeba było do tych zdjęć dołożyć historię ludzi, więc ruszyłam do archiwum. Zaczęłam przeglądać akta metrykalne i inne dokumenty. Strasznie mnie to wciągnęło. Żyłam jak w amoku. Spędziłam w archiwum ok. 500 godzin i każda z nich to było odkrywanie innego, dawnego świata. W dokumentach znajdowałam różne informacje, nie tylko o tym, kto kiedy się urodził, czy kiedy zmarł, ale również niekiedy z jakiego powodu – opowiada Elżbieta Łęczycka.*

Tak więc zamiast albumu ze zdjęciami rodziny Elżbieta Łęczycka zaczęła pisać książkę o swojej rodzinie, a wkrótce o całym rodzie. – *Stasio pisał o swojej gałęzi rodu, a ja o swojej. On zgromadził informacje o rodzie Orzy(e)łowskich od 1750 roku i dokumenty o 3,5 tysiącach osób. Genealogię ze względów praktycznych rozpisał w tablicach. Zrobiła się z tego duża objętościowo książka – wspomina Elżbieta Łęczycka. Ona sama przeglądając rozmaite dokumenty i wspomnienia o rodzinie znalazła w nich pewne nieścisłości. Na przykład w dwóch pracach masterskich i okolicznościowej broszurze pojawiła się informacja, że Radomyśl była kiedyś miastem. W innych dokumentach znalazła również wzmianki, że we wsi był kiedyś dwór.*

W potocznym nazełnictwie używanym przez starszych mieszkańców wsi zachowała się również nazwa Koziestany. W miejscu gdzie jakoby była kiedyś ta wioska, stoi pochylony do ziemi zmurszały drewniany krzyż. Czy była w okolicy taka miejscowość, a jeśli tak, to kiedy? Elżbieta Łęczycka postanowiła to sprawdzić i dowiedzieć się, jak było faktycznie. – *Informacja o tym, że Radomyśl otrzymała w roku 1523 prawa miejskie, wynika z pomylenia w Encyklopedii Powszechniej Orgelbranda wydanej w 1865 roku wsi Radomyśli z miejscowością o tej samej nazwie, położonej nad Sanem. Ale już w Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego z 1888 roku błąd sprostowano, dokładnie opisując położenie wsi i folwarku Radomyśli w gminie Zbuczyn. Przeanalizowałam również inne dokumenty z czasów, kiedy Radomyśl otrzymała jakoby prawa miejskie. Okazuje się, że wieś mogła wtedy liczyć co najwyżej 5 domów, więc raczej niemożliwe jest, aby była w tym czasie miastem. Nie zachowały się też żadne pozostałości, które można by odkryć w trakcie kopania fundamentów pod zabudowania. Ciekawych tego, czy udało mi się odkryć informacje dotyczące istnienia dworu w Radomyśli oraz pochodzenia nazwy Koziestany odsyłam do książki „Pod jednym niebem urodzeni”.*

W trakcie zbierania informacji do książki Elżbieta Łęczycka stwierdziła, że nie może pominąć wspomnień mieszkańców wsi. – *Postanowiłam porozmawiać z każdym człon-*



kiem rodziny i mieszkańcem wsi, żeby zebrać jak najwięcej wiadomości pozostających jeszcze w pamięci ludzi. Pół roku jeździłam i zbieram wywiady. Do każdej rodziny we wsi poszłam. Będąc u nich w domach prosiłam o pokazanie starych zdjęć, a następnie wypożyczałam je, żeby zeskanować i przy następnej wizycie oddawałam. W ten sposób powstał duży zbiór starych fotografii, który na bieżąco starałam się również opisywać. Zdjęcia były wypłowiałe, z plamami, miały połamane i pozaginane rogi. Najstarsze zdjęcie z tego zbioru pochodziło z 1918 roku. To właśnie z tych rozmów z ludźmi pomalą zaczęła wylaniać się część książki dotycząca dziejów mojej wsi Radomyśli. Mieszkałam tam 16 lat i wiele pamiętałam, ale jeszcze więcej opowiedzieli mi moi rozmówcy – opowiada Elżbieta Łęczyska.

Cały ten ogrom zebranego materiału historycznego, genealogicznego i etnograficznego zawarła autorka w swojej książce, liczącej 544 strony. Publikacja „Pod jednym niebem urodzeni” wydana została w 2010 roku w twardej oprawie w ilości 2500 egzemplarzy. Cały nakład książki rozszedł się jak świeże bułeczki, choć początkowo zainteresowanie było niewielkie. Książką byli zainteresowani znajomi, kuzyni bliżsi i dalsi, ale wśród mieszkańców wsi zainteresowania nie było. Dopiero gdy informacje o publikacji pojawiły się w Internecie, zaczęły nadchodzić zamówienia na książkę z Polski, krajów Europy, nawet z dalekiej Kanady i Ameryki, od osób prywatnych, księży

zainteresowanych genealogią, od towarzyszystu genealogicznych z całego świata.

Co znajdziemy w publikacji Elżbiety Łęczyckiej? Oprócz bardzo obszernej części o historii regionu i rodzinnej miejscowości można w niej znaleźć opisy codziennego życia i trudu molarnej pracy na roli, informacje o roli kobiety w życiu wiejskiej rodziny, utrzymaniu domu i pracach polowych. Znajdziemy tam również stare nie używane już nazwy, proste wiejskie potrawy, opisy prac, które obecnie zostały od dawna zarzucone z powodu zmian cywilizacyjnych. Dużo informacji o rodach pochodzących z Radomyśli. Z pewnością zachwyca nas opisy wiejskich chałup, wytwarzanych przez rzemieślników sprzętów, ozdób, zwozajów, pieśni, wierszyków. W książce zamieszczono również mnóstwo starych fotografii, dokumentujących świat, który już odszedł i ludzi, których często nie ma już wśród nas. Nade wszystko zaś znajdziemy odbicie pięknej osobowości autorki, która w całej publikacji zamieściła podkreślające treść piękne i mądre wiersze, wśród których wiele jest jej własnych.

Duża część książki to indeks aktów metrykalnych mieszkańców wsi Radomyśl, zaślubionych i zmarłych w latach 1781-1930 wg ksiąg parafii Zbuczyn. Są to gotowe materiały do badań genealogicznych dla rodzin zamieszkujących lub wywodzących swój ród ze wsi Radomyśl. Dzięki nim można prześledzić dzieje swoich przodków wstecz o sześć do siedmiu pokoleń i samemu ułożyć własne drzewo genealogiczne. Autorka dzieli się również posia-

daną wiedzą genealogiczną i historyczną, znakomicie przybliżając tę dość hermetyczną wiedzę osobom mniej zaawansowanym w badaniach korzeni rodzin. ■

Elżbieta Łęczycka

Zaplątam wiązom warkocze

Zaplótlszy wiązom warkocze
Siadam zmęczona z boku.
Patrzę, jak czas upływa
Tobie, mnie, wszystkim wokół.
Patrzę na ludzi strudzonych,
Pchających fortuny swej koło
Wzrok mają wbity w ziemię,
I chmurne, trosk pełne czoło.
Czy widzą drzewo radosne?
Mocne, wiekowe konary?
I warkocz z gałązek sercem
Misternie mą ręką splątany?
Zajęci myślą nijaką,
Nie chcą pokochać drzewa
Z warkoczem, gniazdem dla ptaków.
Nic to, nie tracę ducha,
Warkocza nie rozplątam.
Na pewno ktoś go zobaczy
- być może przy końcu świata.



Ludzie Gminy



na Medal

Sport

Opracował Sławomir Kindziuk



Mirosław Dyl

Historię tworzą ludzie

Paralotniarstwo

Z paralotni Mirosława Dyla z Grabianowa, mistrza świata w przelotach bez lądowania, gmina Siedlce wygląda niezwykle kolorowo. Pola, łąki, stada pasących krów, zwarte zabudowania wsi, gdzieś tam pojedyncze gospodarstwa, a w centrum prawie 80-tysięczne Siedlce. Gminny krajobraz zachwyca debiutujących paralotniarzy oraz latających po raz pierwszy pasażerów.

- *Kiedy był ten pierwszy lot?* - zastanawia się Mirosław Dyl. - *Kiedyś polowałem, ale w pewnym momencie myślistwo zaczęło mnie nużyć. Szukałem wtedy czegoś ciekawszego. Przyjaciel pokazał zdjęcie z lotu paralotnią, a ja w tym momencie zacząłem się zastanawiać jak to możliwe. Postanowiłem spróbować* - opowiada.

Kilka miesięcy później, w 2000 roku Mirosław Dyl wykonał w Szczyrku pionierski lot na paralotni, w tandemie z instruktorem. Był to bardzo krótki, 10-minutowy, ale wystarczyło aby zachwyć się i wsiaknąć na dobre w paralotniarstwo. Jeszcze w tym samym roku rozpoczął w Aeroklubie Podkarpackim w Krośnie szkolenie specjalistyczne pod okiem instruktora Bogusława Pelczara, wykonując tzw. loty żaglowe. Dużo uczył się sam, latał coraz częściej i coraz dalej. Do Krosna było daleko, było mu szkoda czasu na dojeżdżanie samochodem, więc kurs dokończył u Wojciecha Pierzyńskiego w Sulejówku.

Z czasem zaczął kompletować własny sprzęt. Paralotniarstwo nie jest zbyt drogą pasją. Podstawowy kurs pilotażu to wydatek rzędu 1200 zł, używane skrzydło i napęd kosztuje nie więcej niż 5 tys. zł. Używaną trajkę, czyli wózek, można nabyć za 10 tys. zł. Do tego trzeba wydać kilkaset złotych na kask, radio, wiatrometr, jakiś kombinezon. Kto ma oszczędności, może kupić lepszy sprzęt nawet za 25 tys. euro. Godzina latania kosztuje 100-120 zł wydanych na paliwo. Od tego roku wprowadzono obowiązkowe badania lekarskie.

W paralotniarstwie rozróżnia się latanie swobodne PG, z napędem plecakowym PPG lub z napędem i wózkiem PPGG, na wspomnianej trajce. - *Zasmakowałem wszystkich sposobów, w powietrzu jest fantastycznie. Teraz rozumiem dlaczego człowiek, zaczynając od Ikara, zawsze chciał oderwać się od ziemi, naśladować ptaka.*

Kiedy sam poczuł się pewnie w powietrzu, zaczął zabierać pasażerów na 2-osobowy wózek. Lataniem zaraził całą rodzinę i znajomych. - *Wszyscy wysiadają pełni szczęścia, naładowani energią, zachwyceni tym co zobaczyli z góry* - opowiada. W Siedlcach jest coraz więcej osób pozytywnie zakreconych na punkcie paralotniarstwa. Aeroklub Siedlecki miał w połowie 2012 roku 28 członków i co roku dołącza kilku nowych pasjonatów. Członkowie aeroklubu mają w sumie do swojej dyspozycji trzy samoloty, 20 motolotni i cztery wózki paralotniowe, w tym dwa podwójne do lotów

z pasażerami. Wokół Siedlec nie ma górki umożliwiających start paralotni bez napędu. Niektórzy próbują startować z Sowiej Górki pod Węgrowem, ale to nie to co górki na Podkarpaciu i w Małopolsce. Dlatego podlascy miłośnicy tych sportów startują i lądują zwykle na płaskich siedleckich błoniach. Mirosław Dyl wzbija się w powietrze czasami także z działki obok domu w Grabianowie.

Nad gminą Siedlce latał wielokrotnie, gminny krajobraz zna prawie na pamięć. Szybko oblicza w pamięci, że aby oblecieć gminę Siedlce dookoła wzdłuż jej granic, trzeba spędzić w powietrzu przynajmniej cztery godziny. Żeby przelecieć się wokół miasta Siedlce, wystarczy kwadrans. Najbardziej bezpieczny lot jest wtedy, gdy paralotniarz utrzymuje prędkość około 100 km/godz. Natomiast żeby zachować ciśnienie utrzymujące równy poziom lotu, pilot musi zachować prędkość minimum 75 km/godz.

W ocenie Mirosława Dyla jest to sport bardzo bezpieczny, choć oczywiście zdarzają się wypadki, spowodowane w prawie 100 proc. błędami pilotów. Począwszy od złej oceny pogody, poprzez nieprawidłowe wpięcie w uprząż, a skończywszy na braku wyobraźni czy przecenianiu swoich umiejętności.

- Bodaj w 2011 roku ja też popełniłem błąd i mówiąc językiem lotniczym, „przyglebiłem”. Ten incydent miał i dobre strony. Po pierwsze przypomniał mi o szacunku dla tego sportu, bezwarunkowym prze-

strzeganiu zasad bezpieczeństwa w powietrzu. Po wtóre przesiadłem się na wózek, co znacznie uprzyjemniło mi latanie. Wcześniej latałem z napędem plecakowym i za każdym razem przy starcie miałem na plecach 25 do 30 kg. Przy lataniu na wózku nie mam żadnych obciążeń i to jest dopiero bajka - mówi z zachwytem.

Bywają tygodnie, zwłaszcza od kwietnia do października, że lata każdego dnia. Zawsze stara się wygospodarować kilka godzin na latanie mimo obowiązków w prowadzeniu z żoną firmy „Fatima”, handlującej dywanami. *- W pewnym momencie, gdy już nasyciłem się zwykłym lataniem, jak mówi się w naszym języku „w koło gruszki”, zacząłem szukać dodatkowych emocji, przystąpiłem do rywalizacji z innymi - wspomina.*

Paralotniarstwo jest w naszym kraju wciąż sportem amatorskim, uprawianym przez kilkaset osób. W zawodach startuje zwykle kilkadziesiąt osób. Od połowy poprzedniej dekady przedsiębiorca z Grabianowa startuje w Mistrzostwach Polski. W 2007 i w 2010 roku zajmował pierwsze miejsce, nagradzane Złotym Pucharem. W 2012 roku w Pile zajął trzecie miejsce i zdobył Brązowy Puchar.

Inną formą rywalizacji jest udział w międzynarodowych zawodach internetowych Paramotor World XContest. Liczą się w nich wyniki z lotów na podstawie zapisów z urządzeń GPS. Pilot po wykonanym przelocie

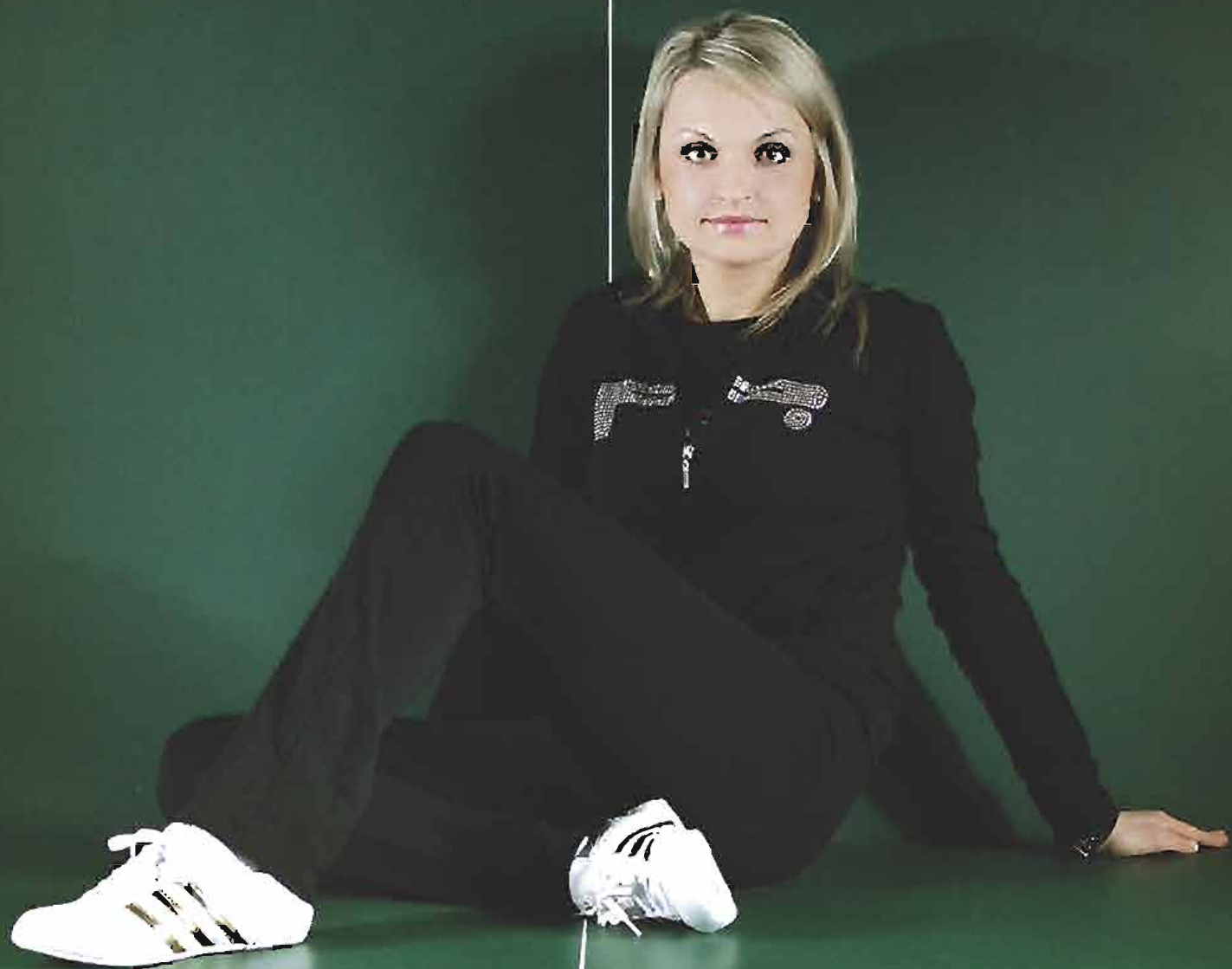
musi w ciągu 14 dni zgrać dane z GPS-a i umieścić na stronie internetowej. Do wyniku końcowego liczona jest punktacja z sześciu najlepszych lotów. Mirosław Dyl po podsumowaniu rywalizacji za 2010 rok, w styczniu następnego został ogłoszony mistrzem świata w przelotach. Miał pięć najdłuższych lotów spośród 200 sklasyfikowanych pilotów z 22 krajów. 13 października 2010 r. przeleciał aż 707,87 km.

Jego marzeniem jest teraz jak najdłuższy lot w przelocie po trójkącie. W tym roku pokonał na paralołni w 19,5 godziny dystans 967 km. Po starcie w Siedlcach skierował się

do Stalowej Woli, potem na Zagórow, Włocławek, Sierpc i Grajewo. Niestety za Łomżą musiał lądować z powodu awarii tłumika, co opisał wszystko w Internecie.

Paralotniarska pasja Mirosława Dyla z Grabianowa trwa już 12 lat. W powietrzu spędził dotychczas ponad trzy tysiące godzin i wciąż nie ma dość. Stawia sobie nowe cele. - *Każdy lot jest inny, każdy widok inspiruje. Zawsze stawiam sobie nowe wyzwania. Na przykład chcę przekroczyć granicę 1000 km w locie bez lądowania. To możliwe, pewnie któregoś dnia to zrobię* - mówi na zakończenie rozmowy. ■





Agata Pastor

Historię tworzą ludzie

Tenis stołowy

W domu państwa Pastorów w Chodowie wciąż jest stół pingpongowy, na którym 20 lat temu mała Agatka odbijała piłeczkę z tatą Kazimierzem. Młodzianka chodowianka niebawem trafiła do sekcji tenisa stołowego Pogoni Siedlce, a trener Sylwester Dąbrowski sprawił, że obecnie ma w swojej kolekcji ponad dwadzieścia medali Mistrzostw Polski, była wielokrotną reprezentantką kraju i wciąż jest jedną z najlepszych zawodniczek w rozgrywkach ligowych.

- Najpierw z tatą grała moja starsza siostra, potem przyszła kolej na mnie. Siostra po kilku latach zajęła się czym innym, a ja zostałam przy tenisie stołowym do dzisiaj - wspomina pingpongistka. Tamte pierwsze zabawy przy stole spowodowały, że już po kilku miesiącach treningów w klubie, Agata Pastor zaczęła jeździć na zawody i odnosić zwycięstwa. Pierwszy poważny sukces zanotowała jako 10-latka. W 1996 roku wygrała w najmłodszej kategorii wiekowej Turniej „Sztandaru Młodych”, który później zmieniał nazwy na Turniej „7 Redakcji”, Turniej WOT, a teraz jest Turniejem o Puchar red. Janusza Strzałkowskiego. Przechodząc do kolejnych kategorii wiekowych chodowianka wygrywała te popularne na Mazowszu zawody dla dzieci i młodzieży osiem razy z rzędu. Jest rekordzistką tej imprezy, bo drugi w klasyfikacji wszech czasów Mariusz Piątkowski z Ciechanowa

ma na koncie tylko sześć zwycięstw, a trzeci Henryk Zaręba z Siedlec - pięć.

W 1998 roku w Brennej, na mistrzostwach kraju młodziczek zdobyła pierwsze tytuły w bogatej karierze. Jako 12-latka, pokonując w finałach starsze o trzy lata rywalki, wygrała turnieje w grze pojedynczej i grze deblowej. *- Od Brennej zaczęło się poważne granie, klubowi trenerzy Sylwester Dąbrowski i Jan Sochacki dużo pracowali ze mną indywidualnie, kazali grać ze starszymi chłopakami, wystawiali nawet do gry w męskich rozgrywkach ligowych* - opowiada Agata Pastor.

Efekt wielogodzinnych treningów był taki, że tenisistka od tamtej pory co roku zdobywa medale na Mistrzostwach Polski, chyba że udział w nich uniemożliwi kontuzja. Od kilkunastu lat, najpierw jako młodziczka, potem kadetka, juniorka i seniorka nie schodzi z podium MP. W swojej kolekcji ma ponad 20 krążków w różnych kolorach, wywalczonych w singlu, deblu i mikście oraz kilkadziesiąt trofeum z mniejszej rangi imprez (puchary, dyplomy, patery, szarfy).

Reprezentantką Polski została w wieku 13 lat, gdy w 1999 roku pojechała na Mistrzostwa Europy kadetek, rozgrywane w czeskim mieście Frydek Mistek. Wtedy w grze pojedynczej awansowała tylko do czołowej „16” w Europie. W 2002 roku na Mistrzostwach Europy juniorek w Moskwie i rok później na podobnych zawodach w serbskim Novym Sadzie, zajmowała

piąte miejsce w deblu i mikście oraz z koleżankami z reprezentacji, szóste lokaty w turniejach drużynowych. Bodaj największym sukcesem Agaty na światowych arenach było wywalczenie brązowego medalu podczas Światowej Gimnazjady w 2001 roku, na której dwa pierwsze miejsca zajęły Chinki.

- *W Chinach tenis stołowy jest najpopularniejszą dyscypliną. Gra tam w pingponga miliony dziewcząt. Nic dziwnego, że Chinki dominują na świecie od lat. Nie dość że mają świetne predyspozycje fizyczne do tej dyscypliny sportu, to więcej od Europejek trenują i są mocniejsze psychicznie. My gramy po pięć godzin dziennie, a one po osiem i więcej - tłumaczy dominację Azjatek na tenisowych stołach.*

Jako 15-latka, zawodniczka z Chodowa trafiła na cztery lata do Ośrodka Szkolenia Olimpijskiego Polskiego Związku Tenisa Stołowego w Krakowie. - *Uczyłam się w krakowskim liceum, trenowałam w ośrod-*

ku, ale medale i punkty z turniejów, które zdobywałam, zaliczano Pogoni Siedlce - wspomina. Poza dobrą grą singlową, jej mocną stroną są od początku kariery gry podwójne. W Ośrodku PZTS poznała koleżankę Annę Janta-Lipińską z Bronowianki Kraków, z którą często do dziś gra debla. Para Pastor-Lipińska

była niepokonana na krajowych stołach przez wiele lat. Z kolei w grze mieszanej jej partnerami było kilku z a w o d n i k ó w , m.in. Tomasz Sposób z Kormorana Ostróda, Zbigniew Grzesiak z ŁTSR Łask, Jakub Perek z Odry Księginice, Tomasz Lewandowski z AZS PR Rzeszów. Z Anią Lipińską ostatni tytuł zdobyła w 2011 roku na



Mistrzostwach Polski senierek w Białymstoku. Razem wygrały kilkadziesiąt turniejów deblowych. W mikstach najczęściej grała z Jakubem Perkiem, ale z innymi zawodnikami także wielokrotnie stawała na podium.

Kiedyś jej celem był udział w Olimpiadzie. - Byłam cały czas w krajowej czołówce w singlu, ale przed igrzyskami

w Pekinie w 2008 roku nie miałam szczęścia do trenerów kadry. Po prostu, stawiali na inne dziewczyny - mówi Agata. Jeszcze w 2010 roku na drużynowych Mistrzostwach Świata senierek w Moskwie występowała w reprezentacji Polski, kończąc turniej na dziesiątym miejscu. - Może za mało jeździłam na turnieje międzynarodowe z cyklu ProTour, zaliczane do światowego rankingu, który decyduje o eliminacjach do turnieju olimpijskiego, a poza tym cały czas stawiałam na naukę - dodaje.

Agata Pastor ma tytuł magistra pedagogiki, niedawno ukończyła podyplomowe studia z wychowania fizycznego. Wciąż jest jedną z najlepszych zawodniczek w polskiej ekstraklasie. Po ukończeniu liceum przeszła do AZS AJD Częstochowa. Następnie, w 2010 roku na dwa lata związała się z MKSTS Polkowice, z którym niedawno podpisała umowę na kolejne dwa sezony.

To co osiągnęła w sporcie, zawdzięcza rodzicom, którzy wozili ją na treningi i do szkoły oraz współpracę z kilkoma szkoleniowcami. W Siedlcach - z Sylwestrem Dąbrowskim i Janem Sochackim, w Częstochowie - z Wiesławem Piętą, a w Polkowicach - z Sławomirem Słowińskim. Sport dał jej tak wiele, że nie żałuje iż tyle lat poświęciła na treningi. Wyjeżdżając na zawody odwiedziła około 20 krajów europejskich, nawiązała wiele przyjaźni, które trwają do dziś. - *Bywały lata, że trening i nauka pochłaniały tak dużo czasu, że nie było*

kiedy pójść do kina czy dyskotekę, ale jest zawsze coś za coś - tłumaczy.

Niektórzy uważają, że tenis stołowy to taka trochę świetlicowa gra. Wystarczy byle jakie pomieszczenie byle zmieścił się stół, do tego dwie rakietki, piłeczka i można grać. Jednak żeby utrzymać sekcję i kilkoro zawodniczek na poziomie ekstraklasy, trzeba przynajmniej kilkaset tysięcy rocznie. Nie każde miasto na to stać. W przypadku Siedlec, w przeszłości zarówno kobieca, jak i męska drużyna, grały w najwyższych polskich ligach. Teraz, w klubie, w którym zaczynała Agata Pastor, jest męski team występujący na trzecim poziomie rozgrywek ligowych oraz grupy dziewcząt i chłopców uczestniczących w indywidualnych turniejach młodzików, kadetów i juniorów. Siedleccy trenerzy mieli szczęście do zdolnych dziewcząt, wyszlifowali talenty liczących się kiedyś w Polsce siostr Mińskich i Sylwii Kubiszyn, a po Agacie Pastor wyszkolili Katarzynę Grzybowską, uczestniczkę igrzysk w Londynie.

Agata Pastor zamierza pograć jeszcze kilka lat. - *Skoro dobrze mi idzie w lidze i w krajowych turniejach jeszcze trochę przedłużę karierę, a potem zobaczymy, może w jakiś sposób związę się z ukochaną dyscypliną, albo poszukam nowego miejsca w życiu - mówi pingpongistka* rodem z Chodowa. ■



Marcin Płudowski

Historię tworzą ludzie

Wyścigi samochodowe na 1/4 mili

Najlepsi na świecie w wyścigach na ćwierć mili pokonują samochodem ten dystans w cztery sekundy. Marcin Płudowski ze Stoku Lackiego, mistrz Polski i wielokrotny medalista w tej konkurencji robi to na razie w 10 sekund.

Wyścigi samochodowe na tak nietypowym dystansie 402,3 metra wymyślili Amerykanie. To tam jest kolebka tego sportu. W zawodach rozgrywanych w każdy weekend w wielu miastach Stanów Zjednoczonych startuje tysiące samochodziarzy.

- Amerykanie budują przecznice ze światłami co ćwierć mili i kiedyś, u zarania rozwoju masowej motoryzacji, przynajmniej kilkadziesiąt lat temu, ktoś wpadł na pomysł zorganizowania wyścigów od światła do światła, do skrzyżowania do skrzyżowania. Sport ten zdobył u nich od razu ogromną popularność, a z czasem został przeniesiony na inne kontynenty - opowiada Marcin Płudowski o swojej pasji.

Wyścigi sprinterskie samochodami odbywają się na wschodzie i na zachodzie Europy: w Anglii, Szwecji, Czechach, Rosji i innych krajach. W Polsce jest to wciąż sport trochę niszowy, o którym mało pisze się w prasie i rzadko pokazuje w telewizji, ale już popularny wśród miłośników motoryzacji. Na krajowe imprezy zjeżdża nawet 300 pasjonatów takich jak pan Marcin. Wyścigi

na ćwierć mili są bardzo widowiskowe i emocjonujące. Zawody organizowane na warszawskim Bemowie, na torze utworzonym na dawnym pasie startowym lotniska, ogląda nawet po 15 tysięcy widzów. Najbliżej Siedlec takie imprezy odbywają się w Białej Podlaskiej. Legalne samochodowe sprinty organizują też grupy zapaleńców w Częstochowie, Modlinie, Kołobrzegu, Sosnowcu, Elku. Czasami, w niektórych miastach, tak jak w Stanach Zjednoczonych, organizowane są także wyścigi na krótszym odcinku 1/8 mili (201 m).

Mieszkaniec Stoku Lackiego pierwszy raz wystartował w 2003 roku. To właśnie tego roku odbyły się w Polsce pierwsze oficjalne zawody w wyścigach równoległych (niektórzy używają międzynarodowej nazwy: drag racing). Tak mu się spodobały pionierskie starty, że jeździ na krajowe imprezy do dziś. Każdy z uczestników przygotowuje swój samochód sam.

- Ścigam się na Hondzie Civic z 1990 roku. Oczywiście, moja honda nie przypomina tej fabrycznej, była wielokrotnie przerabiana. Zaczynałem starty w zawodach z silnikiem o mocy 200 koni mechanicznych, ale doszedłem już do 500 koni. Poprzerabiałem też inne elementy auta. Takie dłubanie pochłania sporo czasu, ale każdy ma przecież jakieś hobby. Mnie akurat to pasjonuje - mówi. Aby wziąć udział w zawodach trzeba mieć samochód przednionapędowy, a więc najgorszy w sprincie.

Za kierownicą
Marcin
Płodowski.

188



Mimo różnych opinii wygłaszanych przez tych co nigdy nie oglądali takich zawodów, nie jest to sport zbyt ryzykowny, grożący wypadkami. Zupełnie nie przypomina tzw. palenia gumy w organizowanych na dziko zawodach. Podczas imprez pod patronatem Stowarzyszenia Sprintu Samochodowego kolizje zdarzają się bardzo rzadko. - *Przez blisko dziesięć lat udziału w tego typu zawodów byłem świadkiem tylko jednego zderzenia, na torze na Bemowie, przed kilku laty, do którego doszło z ewidentnej winy jednego z kierowców* - mówi Marcin Płodowski.

Siadając za kierownicą i pokonując sprintem wyznaczoną odległość, uczestnicy zawodów przeżywają niesamowite emocje, czują prędkość samochodu i umykającą spod kół w mgnienia oka odległość. Emocje są ogromne, gdyż na linii startu staje dwóch kierowców. Chodzi nie tylko o wygraną i wyeliminowanie rywala oraz o to kto pierwszy dojedzie do mety, ale także o czas i prędkość, jaką zmierzą sędziowie.

Wbrew pozorom sport ten nie aż tak drogi jak się wydaje na pierwszy rzut oka. - *Przystosowanie auta kosztuje do kilkunastu tysięcy złotych, w zależności*

od tego co kto chce uzyskać, ale przygotowanie wozu do rajdów samochodowych i udział w nich jest wielokrotnie droższe - tłumaczy.

Marcin jest z zawodu mechanikiem samochodowym, prowadzi w Stoku Lackim prywatną firmę „ProTurbo”, więc łączy pracę zawodową z hobby. - *Zostałem mechanikiem samochodowym, bo mama czasami żartuje, że kiedy była w ciąży ze mną, zdawała egzamin na prawo jazdy - mówi z uśmiechem.*

W dwa lata od pierwszego startu, w 2005 roku pan Marcin został po raz pierwszy indywidualnym mistrzem Polski w klasie 1500 cm³ oraz drużynowym z zespołem, w którego barwach jeździ, w którym jeździ. Wcześniej były to wyścigi w klasie 1550 cm³, ale znieśli tę klasę. Początkowo pieczę nad wyścigami na ćwierć mili miał Polski Związek Motorowy, ale z czasem ich uczestnicy założyli własne Stowarzyszenie Sprintu Samochodowego.

W 2006 roku został indywidualnym wicemistrzem kraju i mistrzem drużynowym, a po roku zdobył dwa tytuły wicemistrza. W pokoju przy warsztacie w Stoku Lackim ma na półkach około 40 pucharów, medali i szarf przywiezionych z różnych imprez, które pokazuje z dumą. - *Niektórzy samochodziarze, jak zobaczą tę kolekcję, są zaskoczeni, że ścigam się i mam spore sukcesy - dodaje.*

Od niedawna ma w gminie Siedlce kolekę, podobnego hobbystę. W wyścigach na ćwierć mili startuje Daniel Jastrzębski z Rakowca, który podczas kilku imprez zajmował lokaty w gronie zwycięzców i stawał na podium. On też ciągle dopracowuje swój samochód by miał jak największą moc.

W wyścigu na ćwierć mili najważniejszy jest moment startu, trzeba ruszyć, przy pełnej koncentracji, od razu ile mocy w silniku, z jak największą prędkością. O końcowym wyniku decydują bowiem ułamki sekund. W Stanach Zjednoczonych najszybsi mkną do mety z prędkością 500 km na godzinę, jak odrzutowce. Najlepsi pokonują dystans 402,3 metrów - na torze lub na ulicy zamkniętej dla ruchu od świateł do świateł - w niewiele ponad cztery sekundy. Jednak Ameryka to w tym sporcie zupełnie inna liga. W Polsce rekordziści potrzebują na półknięcie ćwierć mili około ośmiu sekund. Natomiast rekord Marcina Płudowskiego wynosi obecnie 10,5 sekundy, a rekord prędkości - 225 km/godz. Ustanowił je we wrześniu 2011 roku na torze w Białej Podlaskiej.

- *Chyba jestem w stanie je poprawić - mówi Marcin Płudowski. Jednak musiałyby wystartować na torze lepszej jakości od tego w Białej Podlaskiej. Na idealnej prostej z dobrą nawierzchnią, a polskie tory są zdecydowanie gorsze od amerykańskich. ■*



Martyna Męcza

Historię tworzą ludzie

Podnoszenie ciężarów

Filigranowa 20-latką Martyna Męcza z Jagodni w gminie Siedlce, wcale nie wygląda na sztangistkę. A była już mistrzynią Europy do lat 17, kilka razy otarła się o podium na innych światowych imprezach i ma bogatą kolekcję medali z krajowych imprez.

Jak każda młoda dziewczyna, lubi towarzyskie spotkania. Kiedy nowo poznani rówieśnicy dowiadują się, że dźwiga ciężary na międzynarodowym poziomie, są bardzo zaskoczeni. - *Niektórzy przyglądają się dyskretnie mojej sylwetce, inni mówią wprost „pokaż bicepsy, pokaż mięśnie”, bo nie wierzą, że jestem sztangistką, a potem się dziwią, że wyglądam normalnie* - opowiada ze śmiechem. Jej zdaniem, zresztą tak twierdzi wielu światowej sławy specjalistów z medycyny sportowej, umiejętne uprawianie podnoszenia ciężarów przez panie wcale nie deformuje sylwetek. - *Warto uprawiać sport, bo w przypadku kobiet to dobry sposób na ukształtowanie figury. Oczywiście, mam na myśli każdy wysiłek kontrolowany* - uważa.

Przygoda Marty z ciężarami rozpoczęła się dość przypadkowo. W sekcji WLKS Siedlce trenowała Justyna Kruzel, jej koleżanka z Gimnazjum w Golicach, która ciągle opowiadała jak to fajnie jest na treningach i podczas wyjazdów na zawody. - *W 2006 roku poszłam z inną z koleżanką, Olgą Stachowicz z Topórka,*

sąsiedniej wsi, popatrzeć jak wyglądają zajęcia. Spodobało się nam, dlatego po kilku dniach wróciłyśmy do hali w dresach i zapisałyśmy się do sekcji - wspomina sportowe początki.

W klubie dołączyła do grupy dziewcząt szkolonej przez trenera Dawida Fertykowskiego. Po roku zdobyła pierwszy medal w karierze. Była trzecia na Mistrzostwach Polski do lat 17, które odbyły się Mroczy. Strasznie przeżywała tamten start, potem z każdą imprezą było coraz lepiej. Teraz uważa się już za rutynowaną zawodniczkę. Potrafi skoncentrować się przed każdym bojem. Przed wyjściem na pomost rozgrzewa się, rozmawia z koleżankami i trenerem, czasami posłucha muzyki.

Są różne sposoby podchodzenia przez zawodniczki do sztangi ustawionej na pomoście. Niektóre dziewczyny opracowują cały ceremoniał, zaklinają, czarują gryf, inne podrzucają lub wyrzuwają ciężar od razu, mechanicznie. Martyna nie zabiera na zawody ani maskotek, ani talizmanów. - *Jeśli to komuś pomaga, proszę bardzo, niech je wozi. Mnie takie coś rozprasza, moje wejścia na pomost są standardowe, automatyczne* - mówi.

W 2008 roku w kraju zdobyła złote medale na Ogólnopolskiej Olimpiadzie Młodzieży do lat 16 i na Mistrzostwach Polski do lat 17 oraz zaliczyła pierwszą mistrzowską imprezę zagraniczną. Była szóstą na Mistrzostwach Europy do lat 17 w kategorii do 53 kg. Tamten wyjazd do Amien we Francji doskonale pamięta.

Martyna Męcza
z trenerem
Davidem
Fertykowskim.



192

- *Strój reprezentantki Polski wyzwala chyba u wszystkich debiutantek dodatkowe emocje* - mówi.

Od tamtej pory co roku zdobywa po kilka medali na krajowych zawodach oraz wyjeżdża z kadrą na Mistrzostwa Świata i Europy. W podnoszeniu ciężarów są światowe i kontynentalne mistrzostwa do lat 17, 20, 23 oraz senierek, więc odbyła już wiele podróży zagranicznych. Była w kilkunastu krajach. Chociaż dużo czasu spędza w samolotach, hotelach i halach sportowych, stara się znaleźć czas by zobaczyć coś ciekawego. Zdaje sobie sprawę, że gdyby nie uprawiała sportu, nie pojeździłaby tyle. Miło wspomina wyjazd w 2009 roku do egzotycznego Chiang Mai, do Tajlandii, gdzie zajęła w Mistrzostwach Świata siódme miejsce. Doskonale pamięta też pobyt w Eilat w Izraelu, bo została tam

mistrzynią Europy do lat 17 (w kategorii do 53 kg). W 2010 roku na Mistrzostwach Europy do lat 20 przytrafiło się jej najgorsze dla sportowca, czwarte miejsce tuż za podium. Przegrała walkę o medal z trzecią zawodniczką wynikiem gorszym tylko o jeden kilogram. Do swoich cennych sukcesów zalicza również dwukrotne zwycięstwo - w 2008 i 2010 roku - w prestiżowym Międzynarodowym Memoriale Eugeniusza Bryzka. To jedyna impreza w Polsce, rozgrywana w Siedlcach od 1994 roku, zaliczana do międzynarodowego kalendarza IWF dla zawodniczek i zawodników do lat 18. W dotychczasowych 18. edycjach memoriału, dwa zwycięstwa, oprócz Martyny, odniosła tylko słynna Agata Wróbel. Inna ze znanych i utytułowanych zawodniczek, Aleksandra Klejnowska-Krzywańska, wygrała tylko raz.

Kiedy wraca po zawodach do rodzinnej Jagodni, sąsiedzi potrafią zatrzymać i zapytać jak poszło. - *Wspierają mnie, cieszą się z moich sukcesów tak jak rodzice i rodzeństwo.* Dźwiganie ciężarów staje się powoli w jej rodzinie sportem numer jeden. W ślady Martyny chce pójść młodsza o siedem lat siostra, Magdalena, która w wieku 13 lat rozpoczęła treningi w sekcji WLKS i zdradza wielki talent.

Sztangistka chwali współpracę z trenerem Dawidem Fetykowskim. Podczas treningu lubi porozmawiać ze szkoleniowcem i z dziewczętami. - *Zdarzały mi się kłótnie z trenerem, ale zaraz szybko dochodziłmy do porozumienia* - nie ukrywa.

Przez krótki okres trenowała w siedleckim Ośrodku Przygotowań Olimpijskich w podnoszeniu ciężarów kobiet. Była na stałe kadrze narodowej, prowadzonej przez trenera Ryszarda Soćkę. Jednak na własną prośbę wróciła do klubowej sekcji i trenera Dawida Fetykowskiego. - *Nie wiem, może jestem nietypowa?* - zastanawia się. - *Wolę pracować w sekcji. Tam męczyłam się psychicznie, tak to wyszło* - dodaje.

Po treningach Martyna stara się nie myśleć o sporcie. Niedawno skończyła edukację w Zespole szkół Ponadgimnazjalnych nr 3, w popularnej „Samochodówce”, ale zastanawia się nad podjęciem dalszej nauki. Uwielbia spotkania towarzyskie oraz wyprawy na basen i plażę. - *Gdyby nie ciężary, pewnie zostałabym pływaczką* - żartuje.

W 2011 roku na Mistrzostwach Europy senierek zajęła jedenaste miejsce. Być może ta jeszcze dosyć odległa lokata zadecydowała, że w 2012 roku znalazła się poza czołową szóstką polskich sztangistek, które wczesną wiosną rozpoczęły ostatni etap przygotowań do startu na Olimpiadzie w Londynie. Szkoleniowcy z kadry i zarząd Polskiego Związku Podnoszenia Ciężarów uznali, że nie rokuje jeszcze nadziei na punktowane miejsce na igrzyskach w pierwszej ósemce. - *Za cztery lata, przed olimpiadą w Rio de Janeiro, wciąż będę młodą dziewczyną. Spróbuję powalczyć o olimpijski paszport* - zapowiada.

W maju 2012 roku, podczas Mistrzostw Polski do lat 20 w Puławach, ustanowiła nowe rekordy życiowe w kategorii do 63 kg. W rwanie podniosła 93 kg, w podrzucie 114 kg, co dało dwuboju wynik 207 kg. - *Żeby w mojej wadze liczyć się w walce o medale na światowych turniejach, trzeba ponieść w dwuboju około 220 kg. Trochę mi jeszcze brakuje, ale niedługo tyle będę dźwigać* - zapewnia.

Dawid Fetykowski uważa, że jej podopieczna jest perspektywiczną zawodniczką. Jeśli ominą ją kontuzje, za rok lub dwa lata będzie jedną z najlepszych polskich sztangistek. Podobnego zdania jest trener Kazimierz Olszewski, który prowadzi grupę ciężarowców WLKS i czasami obserwuje Martynę na treningach. - *Jest pracowita, bardzo dobra technicznie, na Londyn była jeszcze za młoda, ale przyszłość przed nią* - mówi. ■



KI

ta!

TERYNOBIA
SIEDLI

ZAKŁAD USŁUG

- Generaln

- Remonty

arwa

Zapasy kobiet

Iza miała 14 lat, gdy Władysław Świętochowski, trener zapaśniczek WLKS Siedlce, zorganizował pokazowe walki w Szkole Podstawowej w Iganiach Nowych. - *Wtedy nie wiedziałam co to za dyscyplina, ale fajnie to wyglądało* - wspomina Izabela Urban, która trzy lata później została medalistką Mistrzostw Europy kadetek.

Po pokazowych walkach szkoleniowiec zrobił sprawdzian dla chętnych dziewcząt. Odwiedziny małych szkół to stała praktyka WLKS. - *W środowisku wiejskim jest wiele talentów sportowych, ale trudno do nich dotrzeć, odnaleźć w tłumie uczniów, a po pokazach i sprawdzianie staram się wyróżniające się dziewczęta namówić do systematycznych treningów* - opowiada trener Świętochowski.

Inną praktyką WLKS jest organizowanie imprez sportowych, nawet rangi mistrzowskiej, w wiejskich salach gimnastycznych na terenie gminy Siedlce. - *Mamy piękne hale przy zespołach szkół w Iganiach Nowych i Stoku Lackim, których zadroszczą nam niektóre miasta powiatowe* - podkreśla wójt gminy Mirosław Bieniek. W zawodach w tych halach startowali nawet medalistki i medaliści mistrzostw świata oraz olimpijczycy. To świetna forma propagowania sportu i znakomita forma zachęty wiejskiej młodzieży do naśladowania mistrzów.

W gronie dziewcząt, które dołączyły do sekcji zapaśniczek WLKS, po imprezie w Iganiach w 2005 roku, była między innymi Izabela Urban. - *Mieszkam w podsieleckim Opolu, po szkole czasami nudziłam się, trochę trenowałam biegi, ale zajęcia na macie od razu mnie pochłonięły. To było coś nowego. Po kilku miesiącach zaczęłam jeździć na zawody w różnych miastach Polski, a później na zagraniczne turnieje, co było dodatkowym motywem pozostania przy sporcie* - mówi Iza.

Młoda zawodniczka robiła błyskawiczne postępy. „Święty”, jak mówi środowisko zapaśnicze o trenerze Świętochowskim, od razu stawiał na Izę, nie bał się posłać jej na matę do walki z teoretycznie silniejszą zawodniczką. - *Miała to coś, co charakteryzuje kandydatkę na zapaśniczkę. Dobrą koordynację ruchową, predyspozycje do tej dyscypliny, sporo siły w rękach i nogach oraz wielką chęć do wylewania potu na treningach. Od razu wciągnęła się do ciężkiej pracy, nie marudziła, że niektóre chwytty i ćwiczenia trzeba powtarzać w kółko po sto razy* - charakteryzuje Izę.

Po roku treningów zawodniczka z Opoła Nowego wywalczyła na Ogólnopolskiej Olimpiadzie Młodzieży brązowy medal, a zaraz potem zdobyła wraz z reprezentacją województwa mazowieckiego srebrny medal na Drużynowych Mistrzostwach

Polski kadetek do lat 16. Udały starty sprawiły, że szybko została zauważona przez trenerów z Polskiego Związku Zapaśniczego. Na początku 2007 roku otrzymała powołanie do kadry narodowej, przygotowującej się do letnich Mistrzostw Europy kadetek. - *Mistrzostwa odbyły się w Warszawie. Reprezentowałam Polskę w wadze do 40 kg i zrobiłam wtedy chyba wszystkim niespodziankę. Wywalczyłam na tym turnieju brązowy medal* - wspomina pierwszy sukces międzynarodowy.

Z tak dużego osiągnięcia cieszyli się rodzice i rodzeństwo, uczniowie i nauczyciele Gimnazjum w Iganicach oraz koleżanki z sekcji. W WLKS było wówczas kilka zapaśniczek, które liczyły się w krajowej rywalizacji senierek i junierek, między innymi Katarzyna Zalewska (kilkakrotna reprezentantka Polski na Mistrzostwa Europy senierek), Barbara Jarząbek, Magdalena Marton, Marta Śliwińska (uczestniczka Akademickich Mistrzostw Świata), Sandra Pachnik. - *Podpa-*

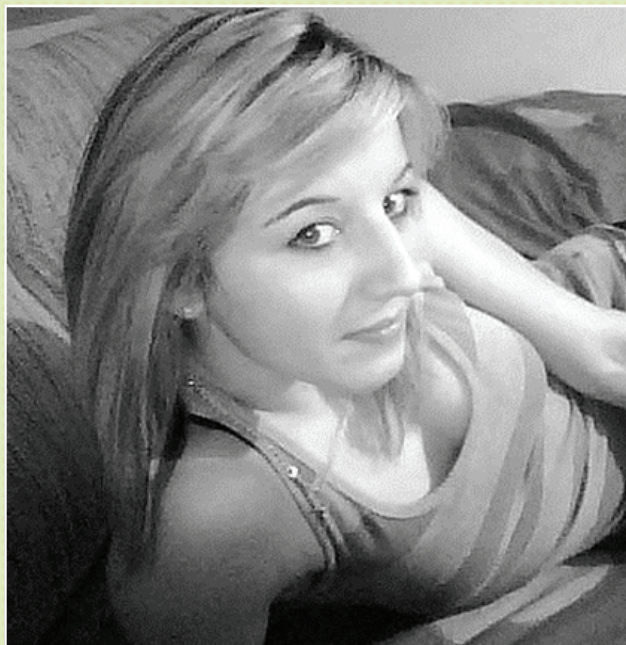
trywałam je, chciałam walczyć tak jak one - mówi Iza.

W 2008 roku raz jeszcze pojechała na Mistrzostwa Europy kadetek, do Daugavpils na Łotwie. Pechowa porażka w walce o wejście do strefy medalowej sprawiła, że niespodziewanie wyładowała na dalekim,

dziesiątym miejscu. W krajowych zawodach poszło zdecydowanie lepiej, została mistrzynią Polski juniorek młodszycy w wadze 49 kg oraz wywalczyła dwa medale w Drużynowych Mistrzostwach Polski: złoty wśród junierek i srebrny wśród kadetek.

Iza to twarda dziewczyna, wytrwała przy sporcie nawet gdy

przyplątała się jej paskudna kontuzja, zerwanie więzadeł krzyżowych bocznych. Prawie rok przerwy na rehabilitację kolana ciągnął się niemiłosiernie, ale wiedziała, że jeśli wróci do ciężkich treningów za wcześnie, może tylko wszystko popsuć. - *Ta kontuzja trochę zahamowała Izę karierę, ale w jej przypadku, a ma wojowniczy charakter,*



wszystko jeszcze możliwe - mówi Władysław Świątochowski, który mimo odejścia na emeryturę śledzi losy swoich wychowanek.

Jeszcze w połowie lat 90. ubiegłego wieku walki dziewcząt na zapaśniczej macie wywoływały uśmiech na twarzach kibiców. Zapasy kobiet w stylu wolnym były dyscypliną niedocenianą w środowisku. - *A to przecież sport dla nas jak każdy inny. Skoro dziewczyny walczą już w ringu bokserkim, biegają maratony, siadają za kierownicą w rajdach samochodowych, kobiece judo dawno jest dyscypliną olimpijską, to przecież możemy być też zapaśniczkami* - twierdzi Iza.

Od kilku lat dużo zapaśniczek próbuje swoich sił także w sumo, japońskim sporcie narodowym. Zapasy i sumo to bliskie sobie dyscypliny. - *Starty w sumo są dla nas oderwaniem się od zapaśniczej codzienności, pewnego rodzaju rozrywką, ale fascynuje mnie też bardzo ciekawa, filozoficzna otoczka sumo* - mówi Iza.

Zawodniczka WLKS teraz uprawia zapasy pod okiem trenerki Magdaleny Bryk-Dudy, która przejęła sekcję po Świątochowskim. Wciąż ma sportowe marzenia. Wierzy, że nie powiedziała ostatniego słowa, nie stoczyła najlepszej w życiu walki, nie wykonała najlepszego chwytu, który otworzyłby jej drogę na podium podczas światowych imprez. Jest blisko reprezentacji

Polski seniorek. W 2011 roku wywalczyła na Mistrzostwach Polski juniorek drugie miejsce, a na Mistrzostwach Polski seniorek była trzecia. - *Tak po cichu, jak każda sportsmenka, marzę o udziale w Igrzyskach Olimpijskich* - przyznaje.

Kobiece zapasy w stylu wolnym stały się dyscypliną olimpijską dopiero igrzysk w Atenach w 2004 roku. Na igrzyskach w Londynie w 2012 roku będą tylko cztery kategorie: do 48, 55, 63 i 72 kg. Mniej niż w Mistrzostwach Świata, Europy i Polski, bowiem w tych zawodach młodziczki i kadetki rywalizują w dziesięciu kategoriach wagowych, juniorki w ośmiu, a seniorki w siedmiu: do 48, 51, 55, 59, 63, 67 i 72 kg.

Do ekipy na olimpiadę w Londynie w 2012 roku Iza nie zakwalifikowała się, ale za cztery lata w brazylijskim Rio de Janeiro, kto wie, może wystartuje? - *Przecież mam dopiero 21 lat i najbliższe cztery lata zamierzam poświęcić zapaśsom* - dodaje z wiarą w głosie. ■



ULTRA-TRAIL
Mt. FUJI

GOLDWIN

ULTRA-TRAIL

Tomasz Niedziółka

Historię tworzą ludzie

Bieganie - pomysł na życie

Maratończyk, biegacz ultramaratonów, współzałożyciel i prezes Stowarzyszenia Yulo Run Team, które skupia amatorów biegania z Siedlec i okolic. Człowiek, który w ciągu miesiąca potrafi przebiec nawet 758 kilometrów, do tego często w ekstremalnych warunkach klimatycznych i w bardzo trudnym, górzystym terenie.

Tomasz Niedziółka urodził się w 1975 roku w Siedlcach. Mieszka wraz z rodziną w Grabianowie. Poza pracą zawodową biega w maratonach i ultramaratonach. Trenuje codziennie, obecnie razem z 14-letnim synem Jakubem, który pomimo młodego wieku w maratonach startował już czterokrotnie, w tym raz w górskim. Warto przypomnieć, że królewski dystans biegu maratońskiego wynosi 42 kilometry i 196 metrów. Tomasz Niedziółka przebiegł ten dystans wielokrotnie. Najkrócej w 3 godziny, 39 minut oraz 18 sekund. Nie jest to jego jedyny maraton ani nie jedyny ekstremalny bieg, w którym brał udział. Ale może zaczniemy od początku.

Stowarzyszenie Yulo Run Team założyła w grudniu 2010 roku grupa zapaleńców biegania, którzy prawie co dnia spotykali się podczas biegu dookoła siedleckiego Zalewu. Impulsem do założenia stowarzyszenia stało się spotkanie kilku biegających z Juliuszem Ziółkowskim, utytułowanym biegaczem i trenerem Akademii Maratonu. Pomógł on usta-

lić pasjonatom biegania profesjonalny trening przygotowujący do przebiegnięcia maratonu. Podstawą takich przygotowań jest przede wszystkim regularny, codzienny trening, bez względu na porę roku i pogodę.

Stowarzyszenie skupia obecnie ok. 30 osób, które do biegania podchodzą niezwykle poważnie. – *To nie jest tylko zabawa. Bieganiem zajmujemy się na poważnie, zwłaszcza że każdy z nas miał kiedyś coś wspólnego ze sportem* – opowiada prezes stowarzyszenia Tomasz Niedziółka. Członkowie stowarzyszenia najczęściej spotykają się na wspólne bieganie nad siedleckim Zalewem, czasem w Rezerwacie Gołobórz, zaś zimą, gdy trasy biegowe na zalewem i w lesie są zasypane śniegiem – w siedleckim parku Aleksandria. – *Po pracy zdzwaniamy się, ustalamy gdzie i o której się spotykamy. Wychodzimy w kilka osób, robimy sobie rundkę albo więcej. To jest przyjemne, pozwala się odprężyć i odreagować stresy. W zasadzie jest to sport dla każdego* – uważa Tomasz Niedziółka.

Bieganie to podstawowa, najbardziej naturalna dla człowieka forma ruchu. Aby osiągnąć w bieganiu jakieś sukcesy, przede wszystkim potrzeba konsekwencji i systematyczności. Najlepszym tego przykładem jest właśnie Tomasz Niedziółka. Nie zaniedbując pracy ani rodziny, stara się codziennie biegać. – *Organizuję swoje zajęcia zawodowe i domowe tak, żeby znaleźć czas na bieganie. Ale dłuższe przebiegnięcia*

200

Maraton
w Rzymie.



przesuwam sobie na noc, zazwyczaj na godziny od 3 do 7 – dodaje nasz bohater.

Tomasz Niedziółka zaczął swoją przygodę z maratonami i ultrabiegami od biegów na 10 kilometrów. Potem były biegi na 15 kilometrów, półmaraton (21 km), a dopiero później maraton. Prezes Yulo Run Team uważa, że przeciętny człowiek jest w stanie w ciągu pół roku przygotować się do przebiegnięcia maratonu, wystarczy że będzie konsekwentnie trenował. Ultramaraton to jednak dużo poważniejsze wyzwanie niż maraton. Jest to bieg długodystansowy, zazwyczaj liczący więcej niż 42 kilometry. Popularne dystanse ultramaratońskie to 100 kilometrów oraz 24 godziny. Ultramarotończycy biegają również dystanse 50 kilometrów, 100 mil oraz 6 godzin, 12 godzin i 48 godzin. Najbardziej popularnym biegiem ultramaratońskim w Polsce jest Supermaraton Calisia, podczas którego rozgrywane są mistrzostwa Polski na dystansie 100 kilometrów. Innymi liczącymi się biegami są Bieg Rzeźnika i Sudecka Setka. Tomasz Niedziółka zdołał już zaliczyć z bardzo dobrymi wynikami Bieg Rzeźnika na 80 kilometrów, Ultramaraton w Krynicy Górskiej na 100 kilometrów, Praską Stówę na 120 kilometrów, Triathlon w Suszu na dystansie Half Ironmen, oraz maratony w Rzymie, Limassol, Berlinie, Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu, Krakowie, Dębnie i Wiedniu. – *W zasadzie w kraju przebiegłem już wszystkie maratony i ultramaratony – wyznaje.*

W tym roku w maju Tomasz Niedziółka jako jedyny Polak wystartował w bardzo ciężkim biegu w Japonii. Ultramaraton dookoła góry Fuji liczy w linii prostej 156 kilometrów. Dodatkowym utrudnieniem są ekstremalne podbiegi i zejścia. Suma przewyższeń terenu w ciągu całego biegu sięga 8400 metrów. Biegnie się etapami po kilkadziesiąt kilometrów z krótkimi przerwami na posiłek i masaż nóg. Wyzwania i trudy jednego z najcięższych biegów na świecie co roku ścigają około 1200 biegaczy z całego świata. Tomek Niedziółka ukończył ten bieg na 382 pozycji z czasem 43 godziny 23 minuty. – *To był najcięższy bieg z tych, w których dotychczas brałem udział – stwierdził Tomasz Niedziółka. – Przygotowywałem się do niego przez ostatnie 3 lata, ale udało mi się go ukończyć. Nie było łatwo.* Pytany, jak można zmusić ciało do tak ekstremalnego wysiłku odpowiada krótko: – *Wszystkie nasze ograniczenia są w głowie. Gdy je pokonamy, nic nie jest w stanie nas złamać.*

Za rok część członków stowarzyszenia planuje udział w Maratonie Piasków na Saharze w Maroku. Ten ultramaraton odbywający się rokrocznie od 1986 trwa 7 dni. Trasa biegu co roku jest zmieniana. Zazwyczaj w trakcie jego trwania trzeba pokonać dystans ok. 230 kilometrów po pustyni, dźwigając ze sobą całe potrzebne wyposażenie. Najdłuższy odcinek trwający 2 dni liczy prawie 80 kilometrów, jeden odcinek ma

42 kilometry, a przeciętny – od 20 do 30 kilometrów. – *Maraton Piasku jest jednym z najlepiej przygotowanych biegów na świecie. Przez cały czas biegacze mają zapewnioną opiekę lekarską. Przed biegiem przechodzi się badania, codziennie lekarze sprawdzają też stopień odwodnienia każdego biegacza – opowiada Tomasz Niedziółka. – Organizatorzy zapewniają również wodę do picia w ilości ok. 10 litrów dziennie i namioty. Resztę wyposażenia – śpiwór, matę, ubrania, jedzenie itp. każdy niesie sam na własnych plecach. Największym problemem jest jednak temperatura – w ciągu dnia jest od 30 do 50 stopni Celsjusza, nocą spada do 5-10 stopni. Teren jest urozmaicony – biegnie się po piasku, po podłożu skalistym, ale również po wydmach, na które trzeba się wspinać.*

Stowarzyszenie ma również inne cele. Jest nim zorganizowanie w Siedlcach w najbliższych dwóch latach półmaratonu (tj. biegu na dystansie 21 kilometrów). – *Mamy nadzieję zaprosić na nasz bieg wielu utytułowanych zawodników biegających maratony. Współpracowaliśmy już przy organizacji III Biegu Jacka z Agencją Rozwoju Miasta. Myślimy też w dalszej przyszłości o organizacji w Siedlcach własnego maratonu. Jest to pieśń przyszłości. Organizacja takiego biegu wymaga sporo pieniędzy i współpracy wielu wolontariuszy, a my na razie możemy zapewnić 20-30 osób.* – mówi prezes Yulo Run Team. ■

Spis treści

Ludzie naszej „Małej Ojczyzny” - Ewa Kadłubowska-Warecka	5
„Szaleni” mieszkańcy Gminy Siedlce - Ewa Talacha-Koperkiewicz	7
Historię tworzą ludzie	
Datne dzieje. Ludzie, miejsca, wydarzenia - dr Grzegorz Welik	13
Wspomnienie	
Szczepan Ciekot - Społecznik z Chodowa	47
Władysław Ciekot - Judym z Markowej	53
Jolanta Adamczyk - Wszędzie jest mi dobrze	57
Samorząd	
Rozmowa z Wójtem Gminy Siedlce Mirosławem Bieńkiem	65
Wójtowie siedleccy	73
Zygmunt Wielogórski - „W Samorządzie nie ma miejsca na podziały i kłótnie...”	75
Wiesław Mazur - To były trudne czasy	81
Marek Plichta - By ludziom żyło się lepiej	87
Grzegorz Koc - Trudna sztuka kompromisu	93
Janusz Mikulski - „Udało się...”	97

Biznes

Jerzy Chromik - Biznes z sercem	103
Edward Książkowski - Wierzyć w siebie i ludzi	107
Mirosław Zwoliński - Z góry widać więcej	111

Nauka, Kultura, Sztuka

Tomasz Skrzyczyński - Ochrona środowiska pasją życia	119
Halina i Stanisław Kałużowie - ...z Żelkowa Kolonii	121
Henryk Durka - Jestem z Igań...	125
Andrzej Jobczyk - „Wywijas” i inne filmy	133
Małgorzata i Daniel Jobczykowie - „Bierzemy nitkę i motamy”	137
Alicja Głuchowska - Malarstwo - moja pasja	143
Róża Somla-Dembowska - Ocalić od zapomnienia	147
Maria Woźniak - O uśmiech na buzi dzieci	153
Marek Zając - Wydobyte z drewna	159
Andrzej Szczygielski - <i>Szczyglantem</i> przez świat	163
Tadeusz Kacprzak - Wychowanie przez przykład	167
Elżbieta Łęczycka - Historia była jej pisana	171

Sport

Mirosław Dyl - Paralotniarstwo	179
Agata Pastor - Tenis stołowy	183
Marcin Płudowski - Wyścigi samochodowe na 1/4 mili	187
Martyna Mędza - Podnoszenie ciężarów	191
Izabela Urban - Zapasy kobiece	195
Tomasz Niedziółka - Bieganie - pomysł na życie	199

© Copyright by Gmina Siedlce
© Copyright by Siedleckie
Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne
BRAMA

Praca zbiorowa:
dr Grzegorz Welik
Urszula Welik - *noty biograficzne*
Sławomir Kindziuk - *sport*

Opracowanie graficzne, skład i łamanie
Miroslaw Zdrodowski

Redakcja
Ewa Talacha-Koperkiewicz

Zdjęcia:
Miroslaw Zdrodowski,
Andrzej Jobczyk,
Piotr Tołwiński,
Archiwum Państwowe w Siedlcach,
Muzeum Regionalne w Siedlcach
i zbiory własne bohaterów książki

Korekta
Ewa Talacha-Koperkiewicz

Wydawca
Siedleckie Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne
BRAMA



Wydanie I, 2012

ISBN 978-83-925762-6-6

Druk
Kozak Druk, Siedlce



Europejski Fundusz Rolny
na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich:
Europa inwestująca w obszary wiejskie,
Operacja współfinansowana jest ze środków
Unii Europejskiej
w ramach osi 4 - LEADER
Program Rozwoju Obszarów Wiejskich
na lata 2007-2013.